



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

NR 8 (380) – SIERPIEŃ 2022

PIOTR AUGUSTYŃSKI (O/Nowy Sącz)

Alpy, Masyw Centralny i Pireneje – wyprawa Oddziału PTT „Beskid” w Nowym Sączu



FOT. PIOTR AUGUSTYŃSKI - PTT NOWY SĄCZ

Dolina Ordesy w Pirenejach

CO SŁYCHAĆ? NR 8 (380) – SIERPIEŃ 2022



FOT. PIOTRAUGUSTYŃSKI - PTT NOWY SĄCZ

Ferraty Broto



FOT. PIOTRAUGUSTYŃSKI - PTT NOWY SĄCZ

Tunel z potokiem na ferratach Broto

Po tygodniach przygotowań i szlifowania formy nadszedł wreszcie piątek, 15 lipca 2022 r., czyli dzień rozpoczęcia wyprawy PTT O/Nowy Sącz. O godzinie 20:00 wszyscy uczestnicy z niecierpliwością przebiegali już nóżkami przed autokarem Wojtka Najducha – naszego ulubionego wyprawowego kierowcy. Wyruszyliśmy na ambitną wyprawę, na drugi koniec Europy, w zamiarze zwiedzenia 14 krajów i przejechania 5.000 km. Dla uczestników najważniejsze były oczywiście górskie cele, te najambitniejsze: w Alpach i Pirenejach.

Od samego początku prześladowała nas postpandemiczna rzeczywistość: mała dostępność bazy noclegowej i drożyzna. Naszym pierwszym przystankiem była Ratybóna, jedno z najstarszych niemieckich miast, z piękną starówką i gotycką katedrą. Trzeci dzień miał być już górski, więc z rana skierowaliśmy się do Lichtensteinu z zamiarem zdobycia Grauspitz (2599 m n.p.m.) w Alpach Wschodnich. Łupem PTT padł nie tylko pierwszy wierzchołek, ten z krzyżem, ale również ten najważniejszy, zaliczany do Korony Europy. Po doświadczeniach z polskich Rysów dziwny był brak turystów i fakt, że na najwyższy szczyt nie ma szlaku. Przy znakomitej pogodzie schodziliśmy malowniczą doliną do schroniska, gdzie dowiedzieliśmy się od tubylców, że Grauspitz ma 7 wierzchołków.

Dzień czwarty zaczęliśmy od porannego zwiedzania Feldkirch w Austrii, aby przejechać do Francji, zwiedzając po drodze szwajcarskie Sankt Gallen. Po szybkim, jak Formula 1 noclegu, udaliśmy się na zwiedzanie urokliwego francuskiego miasta Annecy, gdzie oprócz starówki, kościołów i katedry, czekała nas upragniona atrakcja – kąpiel w jeziorze. Po zakupie na lokalnym targu francuskiego niezbędnika: sera, szynki dojrzewającej i wina – pływaliliśmy w turkusowym jeziorze, by ukoić ciało, choć na chwilę, od niesamowitego żaru z nieba, który towarzyszył nam przez całą wyprawę.

Aby zrealizować plan, trzeba było pokonać kilometry kierując się na zachód w kierunku Lyonu, gdzie nasz przewodnik Robert zaserwował kolejną porcję katedr. W bazylice Notre Dame znajduje się nie tylko jeden z ładniejszych pomników naszego papieża Jana Pawła II, ale panorama na wielkie miasto Lyon, gdzie można byłoby spędzić pewnie z tydzień. Czas jednak gonął.

Piątego dnia wyprawa dotarła w Masyw Centralny. To takie nasze Bieszczady – mniej kamieni, a więcej zieleni. Na wyprawie PTT nie wypada zdobyć tylko najwyższego szczytu, Puy de Sancy (1885 m n.p.m.), więc czym prędzej obskoczyliśmy drugi szczyt, Puy de Dôme (1464 m

n.p.m.). Po tradycyjnym francuskim posiłku (kebab z frytkami) w Clermont-Ferrand, słynnego z czarnej katedry, postanowiliśmy nieco zmodyfikować trasę, bo w zasięgu mieliśmy wiadukt Millau – najwyższy w Europie. Skoro słynny program motoryzacyjny Top Gear poświęcił cały odcinek temu cudowi inżynierii francuskiej (zaprojektowanemu przez Anglika), to takiej okazji nie można było przepuścić. Po drodze mijaliśmy też robiącą wrażenie żelazną, ażurową konstrukcję wiaduktu Eiffla, nie dziwne więc, że zapragnęliśmy odetchnąć nieco od techniki kierując się ku religijnym doznaniom w Lourdes.

Następnego dnia wyruszyliśmy w Pireneje – na początek aklimatyzacja na Pic Entre les Ports (2476 m n.p.m.) oraz przejście doliną Cirque de Gavarnie z pięknym wodospadem. Nie wiem dlaczego, ale nie dla wszystkich cudowna woda z Lourdes okazała się lecznicza i musieli sobie odpuścić trochę gór.

Dziewiątego dnia wyprawy było przejście z Francji do Hiszpanii przez Wrota Rolanda na szczyt Monte Perdido (3355 m n.p.m.) – najwyższy wapienny szczyt Europy, trzeci co do wysokości szczyt w Pirenejach oraz zejście Doliną Ordeisy i wodospad Cola de Caballo („Koński ogon”). Przejście było na tyle wymagające, że ludzie wieczorem dosłownie



Pic de Coma Pedrosa (2943 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Andory

padali na łóżka, a niektórzy ze schodów (pozdrowienia dla Ani – wracaj do zdrowia). Po takiej pięknej górskiej przygodzie czas było trochę wypocząć i pobawić się na wspinaczkę po Via Ferrata de la Cascada de Sorrasol w mieście Broto. Na początku wspinaczki jest trochę podejść, kilka drabinek sznurowych, aby w końcu prześliznąć się wzdłuż ścianki, z której kapie zimna woda (O, jak dobrze!). Dochodzi się w końcu do grupy drabin, które prowadzą kilkadziesiąt metrów w górę do tunelu, w którym płynie strumień. Po jego przejściu wspinają się jeszcze kawałek do jeziora z zimną wodą, gdzie należy zażyć kąpeli. Gdy wydaje się już, że to koniec – trzeba z powrotem ubrać kaski, uprząże i lonże, aby jeszcze wspiąć się na samą górę, skąd pięknie widać okolicę. Pogoda dopisała, a uradowani uczestnicy określili ją „najpiękniejszą drogą żelazną ever”.

Jedenastego dnia wyprawy czekał nas ambitny cel, Pico de Aneto (3404 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Pirenejów. Jeszcze w nocy wyjechaliśmy z hotelu, aby jak najszybciej dojść do schroniska Refugio de La Renclusa na 2140 m n.p.m. Od schroniska na szczyt prowadzi stroma ścieżka z przewyższeniem około 1200 m i trudnościami w postaci bloków skalnych, na które trzeba się wspiąć, piargów i na koniec

lodowca. Grupa atakowała dzielnie górę, aż do pierwszego grzmotu. Burza na wysokości ponad 3000 m n.p.m. jest nie do przyjęcia i została podjęta jedyna słuszna decyzja – odwrót. Góra „Aneta” zmęczyła niezwykle wszystkich uczestników, a warunki tam zastane były ekstremalne. W schronisku znajduje się tablica pokazująca wielkość lodowców Maladeta, które na przestrzeni ostatnich 15 lat zmniejszyły się trzykrotnie.

Kolejny dzień był odpoczynkiem, a więc zwiedzaliśmy kościoły romańskie w dolinie Vall de Boí i udaliśmy się do Andory, gdzie trzynastego dnia wyprawy czekał na nas cel, Pic de Coma Pedrosa (2943 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Andory, należący do Korony Europy. Trasa była bardzo malownicza, z jeziorkami polodowcowymi i pozostałościami lodowców, trochę było też wspinaczki. Ze szczytu można było podziwiać panoramę Pirenejów – jak okiem sięgnąć dookoła góry. Trudno było nawet określić w którym kierunku jest Polska, ale przewodnicy rozwiali wątpliwości. Po tym szczycie, kolejny dzień był tradycyjnie wypoczynkowy, udaliśmy się więc na ferraty w Andorze.

Czas było kierować się już do Polski – zatem najpierw wieczorne zwiedzanie Carcassonne i w nocy przejechaliśmy do Cannes, aby podziwiać wschód słońca

na plaży. Będąc w Monako zachciało nam się zdobyć kolejny punkt zaliczany do Korony Europy, Chemin des Révoires (161 m n.p.m.). Podjęliśmy zatem ten trud wspinania się po schodach i wjeżdżania windami, aby dostać się na ulicę graniczną z Francją, gdzie znajduje się to miejsce.

W ostatni górski dzień wybór padł na przepiękne włoskie Dolomity i szczyt Tofana de Rozes (3225 m n.p.m.), który góruje nad Cortiną d’Ampezzo. Na wymagającą trasę z ferratami wybrała się najmocniejsza grupa, wprawiona w bojach i słynnych skrótach przewodnika Piotрка. Wracając do kraju zaliczyliśmy jeszcze orzeźwiająca kąpiel w jeziorze Garda.

Pod wieczór, 1 sierpnia, po 18 dniach wyprawa PTT wróciła do Nowego Sącza. Wszyscy byli wyczerpani, ale szczęśliwi. Przez następne kilka dni zapewne każdy z uczestników budząc się nad ranem zaczynał pakować walizkę oraz plecak w góry i pytał się, w jakim państwie obecnie przebywa. Dobrze, że podczas podróży autokarem próbowaliśmy znaleźć sobie jakieś odskocznie, typu: podwieczorek z Krzyskiem (czasami nawet kilkudaniowy) – aby kilometry szybciej uciekały. Bardzo intensywny czas trochę scementował 35 uczestników wyprawy, choć nie obyło się bez spieć, ale to w końcu twardzi ludzie. Do zobaczenia za rok? ■

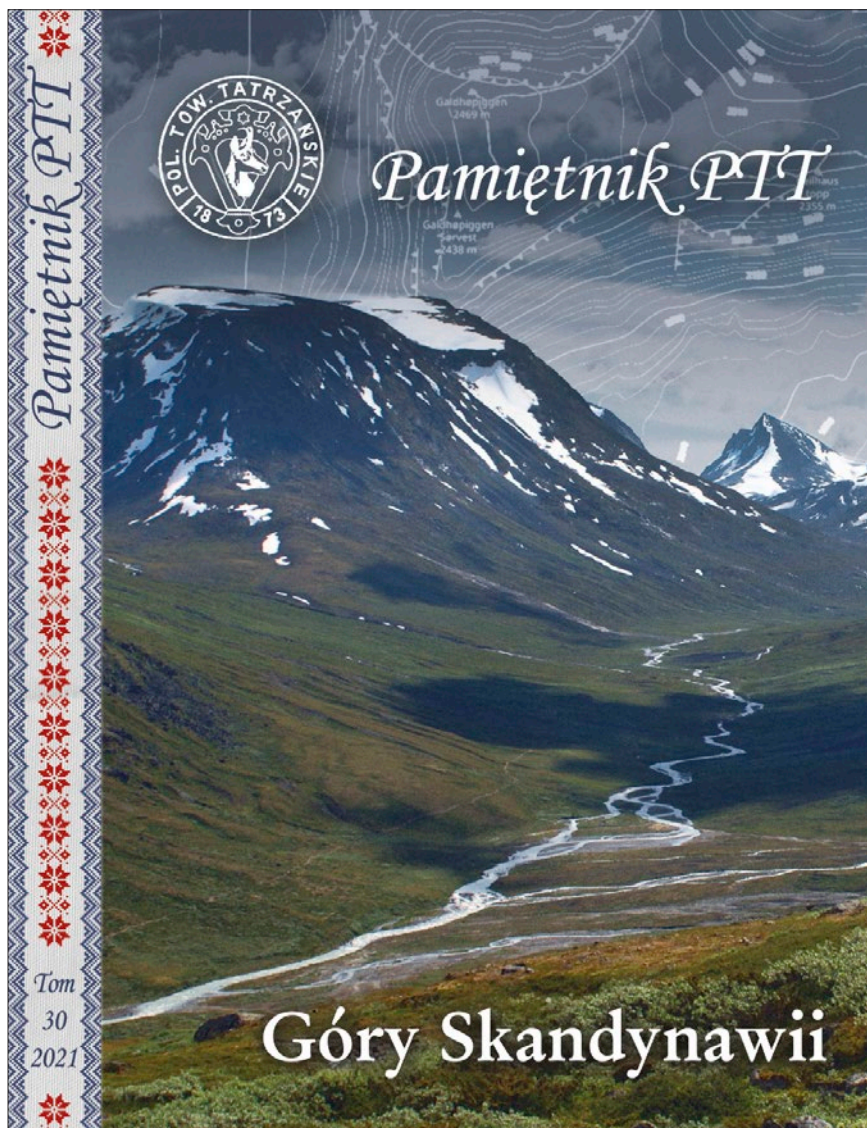
SZYMON BARON (O/BIELSKO-BIAŁA)

30. tom „Pamiętnika PTT” już dostępny!

Początkiem tegorocznych wakacji do rąk czytelników trafił 30. tom „Pamiętnika PTT” opracowany pod redakcją Szymona Barona i Tomasza Kwiatkowskiego. Jego tematem przewodnim są Góry Skandynawii, a by zachęcić do zakupu tegorocznego rocznika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zamieszczam poniżej opracowany przez redaktorów „Subiektywny spacer po zawartości tomu”.

Kolejny raz zabieramy Was na subiektywny spacer po zawartości tomu. Góry Skandynawii, północ... na samą myśl z lekka wieje chłodem. Krajobraz cudny i dziki, fiordy, nieprzewidywalna pogoda, kiszzone ślędzie i komary. Brzmi zachęcająco? No to w drogę.

Pomimo swojego niewątpliwego uroku Góry Skandynawskie ze względu na swoje położenie nie są łatwe do eksploracji. Najwyższe szczyty znajdują się z dala od miejscowości, a nawet jakichkolwiek siedzib ludzkich, zaś część z nich zlokalizowana jest za kołem podbiegunowym, co ma niebagatelne znaczenie podczas eksplorowania tego terenu. Między innymi z tego powodu ostatni szczyt norweski o wysokości powyżej 2000 m Veobreahesten (2185 m n.p.m.) został zdobyty dopiero w 1949 roku. Według danych historycznych Galdhøpiggen został zdobyty pierwszy raz w lipcu 1850 roku przez Steinara Sulheima miejscowego rolnika oraz norweskiego pioniera turystyki górskiej wraz z nauczycielem Larsem Arnesenem oraz śpiewaka kościelnego Ingebrigta Nilsena Flottena – pisze Łukasz Piotrowicz w otwierającym dział „Góry Skandynawii” artykule „Góry, które rosną”. Podziela tę opinię Iwona Nakonieczna-Świątek, opisując swoją wyprawę na Islandię i Wyspy Owczce: Trzeba być przygotowanym kondycyjnie, być silnym i szybkim. To lodowiec, tu nie ma mowy o pomysle, jeśli chce się bezpiecznie zejść na dół. Trzeba być tak przygotowanym, jak w góry wysokie. Przede wszystkim posiadać praktyczne umiejętności poruszania się po lodowcu, za czym idzie dostrzeżenie szczelin i nie mówię tu o tych, które widać gołym okiem, ale przede wszystkim tych usytuowanych pod pokrywą lodu, a mocno niebezpiecznych, oraz oczywiście wyciągnięciu z nich. Potrzebny jest zimowy sprzęt, poczynając od raków i butów pod nie, czekaną, kasku, uprzęży i podstawowego oso-



Okładka 30. tomu Pamiętnika PTT

bistego szpeju, liny lodowcowej, okularów z filtrem oraz kremu na słońce, śruby lodowe nam się nie przydały, ale warto po jednej w szpeju osobistym mieć. Temperatury nie powinny być niższe niż -10°C .

Góry Skandynawii są więc trudne, bywają groźne, o czym przekonał się Kazimierz Płachecki, wspinając się w Norwegii („Wy-padek na Ringstind”), ale eksplorowanie ich jest niezwykle przeżyciem: *Próbujemy przeobrazić marzenia w rzeczywistość. Dla wielu z nas nie jest to jeszcze jedna wyprawa – to coś o wiele bardziej ważnego. To ogromna potrzeba kontaktu z górami, zetknięcia się z tym niezwykle, intymnym światem twardych i surowych, ale jednocześnie jasnych i sprawiedliwych reguł, w przeciwieństwie do świata, któ-*

ry człowiek stworzył sobie. Tam wysoko, w obliczu drzemiących olbrzymów skalnych, usiłujemy odnaleźć jakąś cząstkę prawdy o nas samych. Tak o wyprawie Oddziału Łódzkiego PTT do Norwegii mówił Zbigniew Łuczak cytowany przez Jacka Karczewskiego („Dwa razy Norwegia”).

Można by odnieść wrażenie, że Skandynawia zimą jest jeszcze bardziej wymagająca niż latem. Nic podobnego. Jolanta Augustyńska, pisząc o swoim niezwykle udanym debiucie w Biegu Wazów, pokazuje, że przede wszystkim trzeba chcieć: *Pierwszy raz na nartach biegowych stanęłam podczas wyjazdu do Norwegii w 2019 roku. A wyjazd ten też był w pewnym sensie szaleństwem! Pojechałam z przypadku, tylko dlatego, że akurat zwolniło się*

miejsce [...]. Byłam pełnym żółtodziobem. Udało mi się kupić przed wyjazdem buty, zaś narty i kije miałam pożyczone. [...] przed wylotem do Szwecji 21 lutego 2020 roku miałam za sobą, prócz tego grudniowego, jeszcze tylko trzy treningi, ponownie godzinną lekcję z instruktorką, samodzielny trening na dystansie 20 km, gdzie po raz pierwszy i jedyny mierzyłam czas, oraz jednodniową wycieczkę na nartach w Czechach. W sumie pokonałam nieco ponad 50 km! Miałam też już swoje narty!

Skandynawię możemy jednak eksplorować nie tylko pieszo lub na nartach. Józef Haduch zabiera nas w podróż kolejną, a nie zapominajmy: *Atrakcją podróży kolejną w Norwegii jest przekroczenie koła polarnego. W środku lata słońce tu nigdy nie zachodzi, jest zawsze widoczne. Długość dnia polarnego zależy od tego, jak daleko na północ dojedziemy. W Bodø słońce widać bez przerwy od 2 czerwca do 10*

lipca, w Narviku od 26 maja do 19 lipca. Natomiast od grudnia do stycznia panuje tu noc polarna.

Tematykę skandynawską dopełnia artykuł Artura Duławy Saamowie – lud północy.

Pamiętamy o naszym dziedzictwie. Radosław Kuty opowiada, jak Towarzystwo Tatrzańskie postrzegali warszawscy dziennikarze, Zbigniew Jaskiernia przypomina sylwetkę Stefana Zamoyskiego, prezesa TT, a Józef Durden pisze o współpracujących z Towarzystwem Tatrzańskim organizacjach.

W dziale „Ocalić od zapomnienia” znajdziecie też tekst o Stanisławie Gąsienicy-Byrcynie autorstwa Donata Niewiadomskiego. Sylwia Czauderna-Papiernik przypomina postać Karola Szymanowskiego, a Józef Haduch pisze o Rafale Malczewskim.

W dwusetną rocznicę o Kopcu Kościuszki pisze Mieczysław Rokosz.

Co bardziej spostrzegawczy czytelnicy

zauważyli już pewnie, że nasz „Pamiętnik” ma 30 lat. Barbara Morawska-Nowak wspomina, jak powstał Pamiętnik PTT i jak był tworzony. Jej tekst otwiera Kronikę PTT, czyli dział, dzięki któremu „Pamiętnik” jest pamiętnikiem.

Tom rozpoczyna Józef Durden, pisząc o górach tak i owak: *Góry są czymś więcej niż punktem na mapie. Wszystkie i wszędzie, zwłaszcza wysokie wyniosłości Ziemi, dla ogółu ludzi wrażliwych na piękno natury, majestat, mają swoją nieocenioną wzniosłą wartość, zawsze pomimo odległości są im bliskie, drogie, wprost bezcenne.*

Osoby zainteresowane zakupem 30. tomu „Pamiętnika PTT”, który dostępny jest w cenie 30 zł proszone są o dokonywanie tego za pośrednictwem macierzystych oddziałów. Sympatycy PTT mogą kontaktować się mailowo na adres: pamietnik@ptt.org.pl. Gorąco zachęcamy do lektury! ■

Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW

EWA SOB CZUK (O/ŁÓDŹ)

10 lat spotkań oddziałów PTT z Warszawy i Łodzi

W czerwcu 2022 roku minęło 10 lat wspólnych spotkań dwóch zaprzyjaźnionych Oddziałów Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego, Oddziału Warszawskiego i Oddziału Łódzkiego. Aby godnie uczcić tę rocznicę, 19 osób reprezentujących oba Oddziały spotkało się na wspólnym wyjeździe. Na miejsce naszego spotkania wybraliśmy Jurę Krakowsko-Częstochowską.

Na Jurę zarówno z Łodzi, jak i z Warszawy można szybko dojechać, a jest to zarazem miejsce cenione za przepiękny krajobraz, pełen ostańców skalnych i zabytków architektury. Zamieszkaliśmy w „klimatycznym” ośrodku w centrum Kroczyca. Nasz wspólny pobyt trwał od 16 do 18 czerwca, a część uczestników spotkania przedłużyła go jeszcze o jeden dzień.

Kroczyce przywitały nas upalną pogodą oraz nagłą burzą z ulewnym deszczem. Po krótkim spacerze musieliśmy powrócić do ośrodka i mogliśmy rozpocząć celebrowanie 10. rocznicy wspólnych spotkań. Były zatem życzenia, wspomnienia oraz plany na kolejne lata współpracy naszych Oddziałów. Prezes Oddziału Warszawskiego, Helena Tokarska odczytała, przygotowaną przez prof. Jerzego Lefeldę informację o budowie geologicznej Jury Krakowsko-Częstochowskiej, pre-



Pod zamkiem w Morsku

zes Oddziału Łódzkiego, Ewa Sobczuk opowiedziała o historii powstania Szlaku Orlich Gniazd, a Tadeusz Strumiło z Warszawy przeczytał przygotowany specjalnie na okazję naszego spotkania felieton „Wspomnienie – dziesięć lat przyjaźni”. Było też trochę poezji o górach oraz wspólne oglądanie, przygotowanych przez Prezesa Oddziału Warszawskiego, albumów

wypełnionych fotografiami dokumentującymi 10 lat wspólnych spotkań zaprzyjaźnionych Oddziałów.

Na drugi dzień wyjazdu była zaplanowana wspólna wycieczka szlakami Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Samochodami podjechaliśmy do miejscowości Morsko i później, już pieszo, dotarliśmy do ruin pochodzącego z XIV–XV wieku rycerskie-

go zamku Bąkowiec. W pobliżu ruin zamku przechodzą dwie najważniejsze, piesze trasy Jury Krakowsko-Częstochowskiej: czerwono znakowany Szlak Orlich Gniazd oraz niebieski Szlak Warowni Jurajskich. Zamek Bąkowiec został założony na planie nieregularnego wieloboku, a w jego narożnikach znajdowały się baszty pełniące rolę obserwacyjno-obronną. Zamek, podobnie jak większość warowni jurajskich, doskonale wykorzystywał warunki naturalne do potrzeb obronnych.

Spod zamku, czerwono znakowanym szlakiem, udaliśmy się do grupy skał zwanych Okiennikiem Wielkim. W skalnym murze, którego wysokość przekracza 30 metrów, natura wyrzeźbiła okno o średnicy 5 metrów. Formacje skalne Jury Krakowsko-Częstochowskiej cieszą oko turystów, ale są także wyzwaniem dla miłośników wspinaczki skałkowej. Nasza grupa po krótkim odpoczynku pod skałą ruszyła w drogę powrotną. Spod Okiennika dotarliśmy do miejscowości Skarżyce, a później już niebiesko znakowanym szlakiem doszliśmy z powrotem do ruin zamku i do czekających na nas samochodów. Podczas wycieczki pogoda i humory wszystkim dopisywały, aż szkoda było wracać do Kroczyca.



FOT. ARCHIWUM PTT ŁÓDŹ

Okiennik Wielki

Wieczorem uczestnicy wyjazdu spotkali się przy wspólnym stole, aby wspominać i wspólnie śpiewać piosenkę, której słowa zostały przygotowane przez członków Oddziału PTT w Warszawie specjalnie na 10-lecie wspólnych spotkań naszych Oddziałów. Wieczorne spotkanie zakończyła taneczna zabawa.

W sobotę nastąpił czas pożegnań, a większość uczestników wyjazdu udała się w drogę powrotną do domu. Są oczywiście plany na kolejne spotkania zaprzyjaźnionych Oddziałów PTT – O/Warszawskiego i O/Łódzkiego, a relacje z ich przebiegu znajdują się na pewno na łamach „Co słyhać?”. ■

JANUSZ CEP CER (O/BIELSKO-BIAŁA)

Benefis Tadeusza Jana Mikulskiego

20 sierpnia 2022 r. bielska Straconka nie była tym razem punktem wyjścia na Mały Szlak Beskidzki, ale miejscem benefisu Tadeusza Jana Mikulskiego, zastępcy przewodnika górskiego i ratownika GOPR, wiceprezesa Oddziału PTT w Bielsku-Białej w latach 1993-1996 oraz pierwszego przewodniczącego Koła Przewodników przy naszym Oddziale. W wydarzeniu tym wzięło udział sześćdziesięciu przedstawicieli bielskiego oddziału PTT, w tym delegacja Zarządu Oddziału.

W klimatycznej karczmie „Harnaś” pojawiło się wielu przyjaciół, znajomych i sympatyków benefisanta, którzy podczas retrospekcyjnej uroczystości, przedstawiali Jego działalność społeczną, publiczną oraz ogromny dorobek w 70-letniej służbie ratowniczej GOPR i przewodnictwie górskim. Przy dźwiękach instrumentów Zespołu Prowincjonalnego odśpiewano kilka rocznicowych piosenek. Wśród składających życzenia można było dostrzec przedstawicieli Grupy Beskidzkiej GOPR, Związku Harcerstwa Polskiego,



FOT. GRAŻYNA ŻYREK - PTT BIELSKO-BIAŁA

Benefis Jana Tadeusza Mikulskiego

go, prezesów PTT O/Bielsko-Biała, AKPG Bielsko-Biała, PTTK O/Oświęcim, PTTK O/Wadowice, PTTK O/Andrychów, Towarzystwa Miłośników Ziemi Bielsko-Bialskiej oraz przedstawiciela Babiogórskiego Parku Narodowego. Prezydent Miasta Biel-

ska-Białej Jarosław Klimaszewski wręczył solenizantowi list gratulacyjny oraz okolicznościową paterę.

Przy poczęstunku czas mijał szybko, a rozmowom i wspominkom nie było końca.

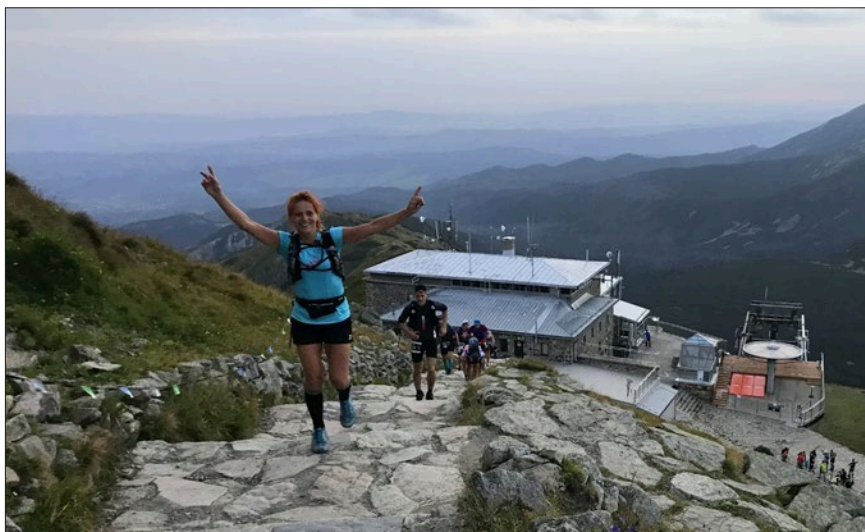
Jubilatowi życzymy dużo zdrowia! ■

Mistrzostwa Polski Skyrunning Ultra – Tatra Fest Bieg

Aby móc wystartować w Mistrzostwach Polski Skyrunning Ultra, które odbyły się 20 sierpnia 2022 r. trzeba było mieć już pewne udokumentowane starty w biegach górskich, co najmniej 20 km, oraz mieć nieco szczęścia. Z racji na ogromne zainteresowanie, organizatorzy w terminie od 24 stycznia do 7 lutego 2022 r. czekali na zgłoszenia, by z listy chętnych, w drodze losowania wyłonić 350 szczęśliwców, którzy będą mogli rywalizować na najtrudniejszym biegu w Polsce. Bez wątpliwości ranga zawodów, czyli Mistrzostwa Polski Skyrunning Ultra była kolejną zachętą dla zawodników, aby chcieć wystartować i mierzyć się z najlepszymi zawodnikami, własnymi słabościami i hartować ducha na tej 65 km trasie, na której przewyższenie wynosiło 5000 m!

Prognozy pogody nie były najlepsze, z tego też powodu zawody rozpoczęły się o godzinie 3 rano, zamiast planowanego startu o godzinie 5. Organizatorzy informowali również, że zawody mogą skrócić albo przerwać, wszystko zależało od pojawienia się lub nie burz, które w godzinach popołudniowych miały się nad Tatrami uaktywnić.

Do startu uprawnionych było 350 zawodników, a organizatorzy zaplanowali następującą trasę: START GuguPark → Przełęcz Białego → Kuźnice → Dolina Jaworzynki → Hala Gąsienicowa → Sucha Przełęcz → Kasprowy Wierch (limit czasowy) → Przełęcz pod Kopą Kondracką → Kopa Kondracka → Małotęczniak → Krzesanica → Ciemniak → Dolina Tomanowa → Dolina Kościeliska – Schronisko Ornak (bufet z napojami i posiłkami + limit czasowy) → Iwaniacka Przełęcz → Ornak → Siwy Zwornik → Starorobociański Wierch → Kończysty Wierch (limit czasowy) → Jarząbczy Wierch → Łopata → Wołowiec → Rakoń → Grześ → Dolina Chochołowska – schronisko (bufet z napojami i posiłkami + limit czasowy) → Ścieżka nad Regłami → Niżnia Kominiarska Polana → Dolina Kościeliska – Cudakowa Polana (bufet z napojami i posiłkami) → Przysłop Miętusi → Wielka Polana w Dolinie Małej Łąki → Przełęcz w Grzybowcu → Polana Strążyska → Czerwona Przełęcz → Przełęcz Białego → META Gugu Park (limit czasowy). Podali również taką charakterystykę trasy: „Bieg typu skyrunning z trasą w dużej mierze przebiegającą powyżej 2000 m n.p.m. Najdłuższy podbieg, jak i zbieg ma ok. 1100 m deniwelacji. Trasa przebiega



FOT. ARCHIWUM PTT NOWY SĄCZ

Na trasie

ekspozowanymi szlakami górskimi i w najtrudniejszych fragmentach do dyspozycji będą liny poręczowe. 100% trasy przebiega na terenie TPN, 82% trasy to granie i dobiegi do grani, 13% trasy do Górny Regiel, natomiast 5% trasy to doliny”

Przewidywania jednak się sprawdziły i tak nad Zakopanem, jak i nad Tatrami burze tuż po południu się pojawiły. Zmusiły tym samym organizatorów do przerwania biegu. W chwili podjęcia decyzji o przerwaniu zawodów na mecie zameldowało się tylko 30 zawodników. Postanowiono, że klasyfikacja pozostałych zawodników będzie prowadzona w oparciu o pomiar czasu, który był na Hali Ornak, i tak oto, w Mistrzostwach Polski Skyrunning Ultra sklasyfikowanych zostało 300 zawodników.

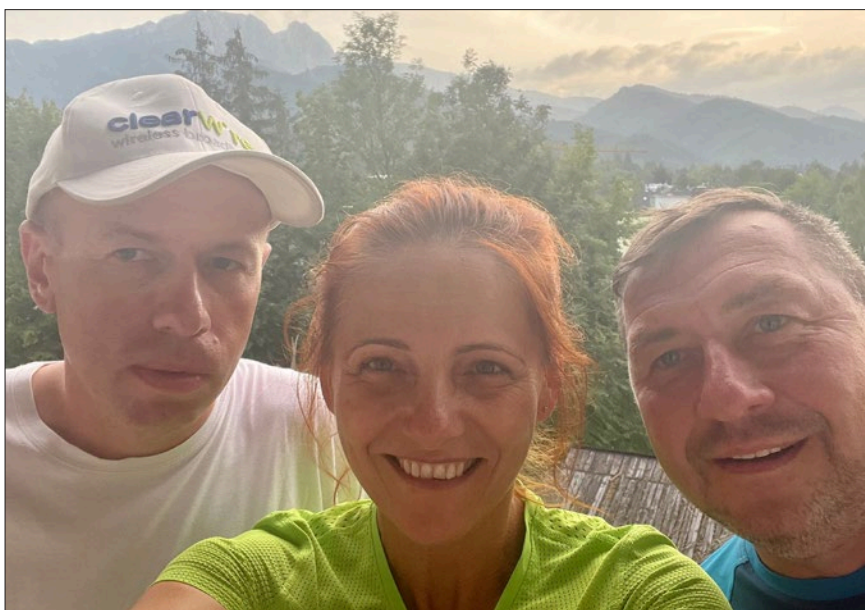
Wśród mężczyzn zwycięzcami okazali się:

1. Roman Ficek 8:31:05
2. Robert Faron 9:02:37
3. Aleksander Badowski 9:22:07

A wśród pań:

1. Natalia Tomasiak 10:40:14
2. Małgorzata Moczulska 11:09:29
3. Natalia Paulina Barosz 11:21:21

Dla mnie to był dość trudny bieg, może nawet najtrudniejszy w jakim startowałam. Wiadomo, ciężkie, bardzo ciężkie, wręcz niekończące się podejścia na kolejne szczyty począwszy od Ornaka mocno dawały się we znaki. Do Hali Ornak czyli pierwsze ok. 30 km biegło mi się zupełnie dobrze, jak zwykle mocne podejścia



FOT. JOLANTA AUGUSTYŃSKA - PTT NOWY SĄCZ

Jola z supportem

podchodziłam, ale za to na zbiegach nieco nadrabiałam. W drugiej części biegu kolana nieco posłuszeństwa odmawiały i nie było już tej lekkości na zbiegach, raczej zbieganie asekuracyjne. A mocne podejścia naprawdę sporo z nas potu wyciskały!

Na Wołowcu, to naprawdę warte odnotowania, była przemiła niespodzianka! Słowacy, około 20-osobowa grupa serwowała zawodnikom piwo! Jeśli ktoś kiedykolwiek biegł i posilał się na trasie żelami wie doskonale jaka to wspaniała odmiana – chłodne, gorzkie piwo! Niektórym osobom brakowało też wody, więc naprawdę, ta inicjatywa, warta wszelakich pochwał!

Zbieg do Doliny Chochołowskiej kończył najtrudniejszy fragment trasy, na tym punkcie miałam okazję poczuć się jak prawdziwy zawodowiec. Dobięłam, zdję-

łam plecak i zajęłam się pyszną zupą pomidorową i arbuzem! Doskonale smakowały ;) w tym czasie mąż, który, był również na wcześniejszym punkcie na Hali Ornak, napełnił bidon wodą i nasmarował mi kolana żelem przeciwbólowym... Byłam prawie jak nowo narodzona, pobiegłam dalej.

Po wbiegnięciu na Ścieżkę nad Regłami dały się słyszeć grzmoty i wkrótce też zaczęło padać. W deszczu chwilami mniej, chwilami bardziej intensywnym dotarliśmy z kolegami (bo wiadomo, na trasie poznaje się nowe osoby) do kolejnego punktu Cudakowej Polany. Tam organizatorzy poinformowali nas, że bieg zostaje przerwany. Wspólnie z Michałem, który wyczekiwał mnie na tym punkcie, pobiegliśmy do Kir, a potem wspólnie z mężem udaliśmy się na metę, ale już samochodem.

Według pomiaru mojej aplikacji Strava na wyznaczonej trasie zawodów pokonałam ponad 58 km i ponad 4100 m przewyższenia, w czasie nieco ponad 11 godzin.

Finalnie zajęłam 6 pozycję wśród kobiet i 72 ogólnie! Myślę, że jak na amatora, który do żadnego biegu się specjalnie nie przygotowywał, nie ma trenera, ani profesjonalnego planu treningowego to całkiem dobry wynik. A podziękowania z pewnością należą się mojemu supportowi – wyjazd z osobami, które wspierają jest znacznie bardziej przyjemny i daje poczucie bezpieczeństwa. Dziękuję więc bardzo Piotrowi Augustyńskiemu, Michałowi Osysko, jak i Maćkowi Majewskiemu, który nie omieszkał nam rozłożyć na czynniki pierwszy front burzowy, który się do nas zbliżał. ■

SZYMON BARON (O/BIELSKO-BIAŁA)

Powrót w Góry Przekłète



FOT. SZYMON BARON - PTT BIELSKO-BIAŁA

Velika Rudoka (2660 m n.p.m.) w górach Szar Planina

Po intensywnej eksploracji Bałkanów przez Oddział PTT w Bielsku-Białej w latach 2011-2013, w kolejnych latach pojedynczy członkowie naszego oddziału wybierali się w te rejony. Tym razem, w dniach 9-18 lipca 2022 r. pod szyldem bielskiego PTT w góry na pograniczu Albanii, Czarnogóry i Kosowa wybrało się pięć osób: Jacek, Kasia, Seba, Szymek i Zuzia.

Wiedząc, że w ciągu jednego dnia nie dojedziemy do Albanii, postanowiliśmy zatrzymać się w Serbii. Wybór miejsca nie był przypadkowy, bowiem postanowiliśmy odwiedzić pasmo Starej Płaniny na granicy serbsko-bułgarskiej z najwyższym szczytem pierwszego z tych państw – Midżurem (2169 m n.p.m.). Zanim tam dojechalibyśmy, przypomnieliśmy sobie jak przekracza się granicę poza Strefą Schengen oraz jak wie-

lu ludzi może jednocześnie palić papierosy, właśnie na granicy węgiersko-serbskiej.

Po noclegu spędzonym w pięknym miejscu widokowym na okolicę Midżura, dojechalibyśmy ostatni odcinek do hotelu Babin Zub, skąd wyszliśmy na szlak. Stara Płanina przypomina nieco nasze Bieszczady, choć tutejsze połoniny są dużo większe, jak w Karpatach Ukraińskich. Szlak na szczyt nie sprawił nam żadnych trudności i gdyby nie napotkane na szlaku grupy quadowców i jednego samochodu terenowego marki Yugo, to wyjście pozostawiłoby w nas same miłe wspomnienia.

Tego dnia, w godzinach późnowieczornych dojechalibyśmy do Albanii, a dokładniej na Eco Campingu położony w malowniczej dolinie Valbonë, która miała być naszą bazą w ciągu kolejnych dni. Dolina ta znaj-

duje się w Górach Północnoalbańskich, nazywanych też Alpami Albańskimi, które są fragmentem Gór Dynarskich. Po stronie czarnogórskiej nazywane są Prokletije, czyli Górami Przekłętymi.

Trzeciego dnia wybraliśmy się na Maja Rosit (2524 m n.p.m.), szczyt leżący na granicy między Albanią a Czarnogórą. Wysoka temperatura powietrza i zmęczenie po dwóch dniach jazdy przeplecionych wejściami na Midżura sprawiły, że pokonanie ponad 1500 metrów przewyższenia na dystansie 8,5 km mocno dało mi się mocno we znaki. Z wierzchołka rozpościerał się piękny widok na okoliczne szczyty z Maja e Jezercës i Zlë Kolatë, które były w naszych planach na następne dni.

Kolejny dzień spędziliśmy na odpoczynku, odwiedzając miejscowość Bajram Cu-

ri, w które spróbowałam miejscowej kuchni w restauracji odwiedzanej przez Albańczyków. Mieliliśmy możliwość przyręczyć się daniom bezpośrednio w garnkach, lecz pomimo tego nie skradły one naszych serc – dania były tłuste i trochę słabo doprawione. Zrobiliśmy też zakupy na najbliższe dni, zaopatrując się między innymi w pyszne melony i arbuzy.

Wieczór spędziliśmy w towarzystwie turystów z Francji, Słowenii i Szwecji, a Agim – nasz gospodarz, poczęstował wszystkich biesiadników czarnogórskim winem.

Następnego dnia wybraliśmy się w trójkę z Jackiem i Zuzią fragmentem szlaku Peaks of the Balkans na przełęcz Valbonë (1795 m n.p.m.). Odcinek z doliny Valbonë do Theth jest jednym z najpopularniejszych, a co jest ciekawostką, szybciej dojść pieszo z jednej miejscowości do drugiej, niż objechać góry dookoła samochodem... Na szlaku spotkaliśmy (w kolejności) turystów z Niemiec, Włoch, Danii, Wielkiej Brytanii, Holandii i Belgii. Na szlaku mijaliśmy się co chwilę z poznanymi dzień wcześniej Libańczykami, mieszkającymi we Francji.

Tego samego dnia Seba i Kasia podjęli próbę wejścia na Maja e Jezercës (2694 m n.p.m.), kończąc ją niespełna godzinę od szczytu z powodu trudnych warunków śniegowych.

Pogoda cały czas nam dopisywała, więc w czwartek wyruszyliśmy w dwóch grupach szlakiem na Zlę Kolatę (2534 m n.p.m.). Dwie osoby ruszyły nieco wcześniej, obierając za cel najwyższy szczyt Czarnogóry, a pozostała trójka udała się w stronę dwóch punktów widokowych (ok. 1530 m n.p.m.), z których dolina Valbonë prezentowała się jeszcze bardziej majestatycznie.

Na ostatni dzień w Górach Przeklętych zaplanowaliśmy wcześniej wycieczkę do jaskini Shpella e Dragobis (1096 m n.p.m.), co było zdecydowanie złym pomysłem. Szlak do niej prowadził przez las i wyraźnie nie był zbyt często odwiedzany. Poprzewracane drzewa, pozarastana i słabo oznakowana ścieżka oraz niezbyt atrakcyjna grupa skał ze wspomnianą jaskinią sprawiły, że rozczarowaliśmy się na koniec bardzo udanego pobytu w dolinie Valbonë.

Po powrocie na camping spakowaliśmy się i udaliśmy się w stronę oddalonej o niespełna 150 km miejscowości Brod w Kosowie. Namioty rozbiliśmy nad rzeką Brod w pobliżu hotelu Arxhena.

Sobota była ostatnim górskim dniem podczas tego wyjazdu, a zaplanowanym przez nas celem była Velika Rudoka (2660

m n.p.m.) w górach Szar Płanina na granicy Kosowa i Macedonii Północnej. Tradycyjnie za najwyższą górę Kosowa uznawana była Đeravica (2656 m n.p.m.) w odwiedzonych przez nas Górach Przeklętych, głównie z uwagi na brak precyzyjnej granicy pomiędzy Kosowem i Macedonią Północną. Po ogłoszeniu niepodległości przez Kosowo, udało się wyznaczyć górską granicę między tymi państwami, w związku z czym wszystko wskazuje na to, że najwyższa jest jednak Velika Rudoka, bo na jej szczycie stoi słupek graniczny.

Na szlak wystartowaliśmy o 5 rano, chcąc jak najwięcej trasy przejść przed wyłonieniem się zza gór palącego słońca. Jeśli wspomnianą na wstępie tej relacji Starą Płaninę porównałem do Karpat Ukraińskich, to pasmo Szar Płanina sam nie wiem



Dolina Valbonë widziana ze szlaku na Qafa e Valbonës



Widok z podejścia na Maja Rosit

do czego porównać. To jedna, wielka, odkryta połonina. Choć startowaliśmy ze stosunkowo dużej wysokości (ok. 1500 m n.p.m.), do szczytu mieliśmy ponad 1100 metrów sumy podejść (i zejść, co dało nam się na ostatnim odcinku mocno we znaki). Cała trasa miała około 24 kilometrów długości, a bez aplikacji z wgraną wcześniej mapą, orientacja w terenie byłaby mocno utrudniona. Szlak miejscami wyznaczony jest dość dobrze, w innych fragmentach znika i trzeba kierować się w stronę charakterystycznych punktów wyznaczonych na podstawie mapy. Na szczyt, z którego rozpościerała się piękna, dookólna pano-

rama dotarliśmy w samo południe. Pięknie prezentował się szczególnie Titow Wrw (2747 m n.p.m.), najwyższy szczyt tego pasma, położony po stronie macedońskiej. Wycieczkę skończyliśmy o 17 i zdecydowaliśmy, by spędzić tu jeszcze jedną noc przed wyruszeniem w drogę powrotną. Skorzystaliśmy za to z oferty pobliskiej restauracji jedząc pyszne burgery, sałatki warzywne i lokalne sery. Wrażenia kulinarne mieliśmy o niebo lepsze, niż kilka dni wcześniej w Albanii.

Drogę powrotną planowaliśmy rozłożyć na dwa dni, ale tak dobrze nam sięjechało, że wróciliśmy do domów już rano w poniedziałek, po drodze zaliczając tylko 1,5-godzinną odprawę na granicy serbsko-węgierskiej oraz zahaczając jeszcze o najwyższy szczyt Węgier – Kékes (1014

m n.p.m.), na którym nie byli dotąd Jacek z Zuzą, a który nocą obdarował nas możliwością ujrzenia niepoliczalnej wprost ilości jeleni, saren, muflonów i zajęcy, które ochoczo wychodziły na drogę.

Podczas tegorocznej wyprawy trekkingowej członków Oddziału PTT w Bielsku-Białej na Bałkany udało się nam stanąć na najwyższych szczytach Serbii, Czarnogóry, Kosowa i Węgier, wędrować fragmentami szlaku dystansowego Peaks of the Balkans, odwiedzić niezbyt urodziwą jaskinię oraz spróbować lokalnej kuchni w Albanii i Kosowie. Z pewnością zapiszemy ten wyjazd jako kolejną, niezwykle udaną przygodę. ■

Rumunia mniej znana – w górach Bukowiny



FOT. ARCHIWUM PTT NOWY SĄCZ

Grupa na tamie na rzece Bistrița - jezioro Izvorul Muntelui

W roku 2015 po raz pierwszy pojechałem z nowosądeckim PTT do Rumunii. Od tamtej pory robiłem to co roku. Licznik z wiadomych względów zatrzymał się na roku 2019. Były 2 lata przerwy, więc ochota na uczestnictwo w roku 2022 była ogromna. Miejsca rozeszły się szybko jak bilety na ostatni w karierze koncert Slayera. Ważne, że udało się załapać na listę.

Kilka dni przed wyjazdem skontaktował się ze mną Piotrek w kwestii wspólnego dojazdu do Nowego Sącza. Dogadujemy szczegóły i 14 czerwca porę minut po 15 wyruszamy wspólnie spod Futura Park w Modlniczce. Trasa idzie w miarę sprawnie i tuż przed 18 pakujemy się do wyjątkowo tym razem barwnego autokaru. Miło spotkać znowu starych znajomych. Trochę gadamy, co nieco wchłaniamy, czyli jest normalnie...

Niepostrzeżenie przekraczamy granicę węgiersko-rumuńską i cofamy zegarki o jedną godzinę – przynajmniej te które się same nie przestawią. Jesteśmy w okolicach Oradei. Przewodnicy fundują nam miłą niespodziankę i wjeżdżamy w środku nocy na punkt widokowy, by zobaczyć to miasto z góry. Nie ukrywam, że robi to spore wrażenie. Jest klimacik.

Wracamy do autokaru. Jeszcze kilkaset kilometrów drogi przed nami. Jak to zwy-

kle nad ranem, kiedy już świta, spać się chce najbardziej. Koło godz. 9 docieramy w rejon miejscowości Pasul Bucin, skąd będziemy wchodzić na Saca Mare (1776 m n.p.m.) – najwyższy szczyt gór Gurghiu. Jak zawsze nie chce się wysiadać z autokaru, ale co zrobić...

Leniwie ruszamy ale szybko się rozkręcamy. Jest pierwszy zasłużony postój, pierwsze mini-grupowe zdjęcie na rozstaju szlaków i tak niepostrzeżenie, nie wysilając się jakoś szczególnie, wchodzimy na wierzchołek.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że ten szczyt jakoś szczególnie mną wstrząsnął. To taki kolejny dzień w biurze. Miło tutaj poleniuchować i coś zjeść. Przejrzystość taka sobie, ale coś tam widać. Zejście miało być innym szlakiem, tylko jak go tu znaleźć.

Po pół godzinie nierównej walki z karłowatymi żywotnikami zdecydowana większość odpuszcza i decyduje się na zejście tą samą drogą. Kilku fanów przeżyć a-la Bear Grylls jednak uparcie prze do przodu szlakiem widmo. No cóż, spotkamy się niżej – oby.

Pierwszy dzień górski zaliczony. Lubię te przejazdy do hotelu, kiedy już można się w pełni wyluzować. Zakwaterowanie,

obiadokolacja i w miarę szybki sen, bo jutro czeka nas ciężki, ale i super atrakcyjny dzień.

* * *

Po śniadaniu wyruszamy w drogę. Czeka nas 70 kilometrowy przejazd. Mijamy po drodze Czerwone Jezioro (Lacul Rosu), bardzo popularne w Rumunii. Jest to jezioro osuwiskowe, ciągnące się wzdłuż drogi. Nie zatrzymujemy się tutaj, przynajmniej na razie, podobnie jak w spektakularnym wąwozie Bicz. Przejeżdżamy natomiast do zapory na jeziorze Izvorul Muntelui. Fantastyczne to miejsce i dostępne praktycznie prosto z autokaru.

Po krótkiej przerwie przejeżdżamy w Góry Ceahlău, gdzie będziemy zdobywać szczyt Toaca, mierzący 1904 m n.p.m. Ze względu na swój kształt i krążące o nim legendy nazywany jest przez miejscowych Mołdawskim Olimpem. Dlatego mołdawskim, że poza państwem o tej nazwie jest również kraina historyczna, obejmująca część terytorium Rumunii coś jak z Macedonią i Grecją. Kupujemy bilety wstępu do parku narodowego po 10 lei i w drogę. Pierwsza część drogi nie jest zbyt ciekawa. Wiedzie lasem w dosyć stromym terenie. Widoki praktycznie zerowe. Ale im wyżej tym

lepiej. A jeszcze wyżej to już petarda. Piękne skalne twory, podobne do tych, które miałem kiedyś przyjemność podziwiać w górach Ciukas. Na skałkach przed nami wylegają się kozice. Wydawało się, że stąd będzie już płasko. Nic bardziej mylnego. Straciliśmy sporo wysokości, by ponownie z mozołem ją odbudowywać.

Widok schroniska (Cabana Dochia) leżącego na wysokości 1750 m n.p.m. zdecydowanie poprawił nam humor.

Tutaj dłuższa przerwa na posiłek przed podejściem na dzisiejszy „Olimp”. Widać stąd dobrze Ocolașu Mare mierzący 1907 m n.p.m. – najwyższy szczyt Gór Ceahlău. Jest on niedostępny turystycznie ze względu na ścisły rezerwat przyrody w tamtym rejonie. Nasz cel jest jasny. Ruszamy. No faktycznie tak „olimpowało” Toaca wygląda. Nieco Mitikasa rzeczywiście z kształtu przypomina...

Po kilkunastu minutach dochodzimy do absolutnej osobliwości tego rejonu – stromych schodów, wyprowadzających na sam szczyt. Jest ich 519 i robią niesamowite wrażenie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że są metalowe, ale nic z tych rzeczy. To jakiś dziwny materiał, ale dosyć przyjazny dla naszych nóg. Sam wierzchołek urodą nie grzeszy, ale cała ta schodowa otoczka powoduje, że mamy poczucie przebywania w wyjątkowym miejscu.

Po zejściu ruszamy autokarem w drogę powrotną, ale to nie koniec atrakcji na dziś. Zatrzymujemy się w miasteczku Bicaz i odwiedzamy królewski pałacyk myśliwski, w którym swego czasu był internowany Prezydent Ignacy Mościcki.

Ostatnią atrakcją na dziś jest wąwóz Bicaz, z wysokimi na kilkaset metrów prawie ścianami.

Ach cóż to był za dzień. Wróciliśmy późno, ale warto było...

*

Na ten dzień była planowana długa trasa w Górach Hasmas, ale ponieważ kolano dość mocno mi doskwierało, zacząłem kombinować, że nie pójdę z zasadniczą grupą tylko od drugiej strony. Na moją wersję zdecydowało się około 10 osób. Pożegnaliśmy peleton na przełęczy i skierowaliśmy się autokarem w zupełnie inną część pasma Hasmas. Nie spodziewałem się, że mamy do przejechania taki kawałek drogi. Jechaliśmy dobrze ponad godzinę, a jeszcze doszła do tego weryfikacja ewentualnego szlaku zejściowego dla „biegaczy”, co pochłonęło prawie kolejną godzinę. I kiedy już mieliśmy startować z miejscowości Balan szlakiem niebieskim okazało się, że nie ma żadnego sensownego miejsca aby mógł zaparkować tam autokar. Ostatnią deską ratunku wydawał się być szlak czerwony rozpoczynający się kilka kilometrów dalej. Na szczęście było tutaj wystarczająco dużo miejsca aby zostawić autobus. Startujemy zatem szlakiem czerwonym. Jest upalnie, co zwiastuje jakieś popołudniowe burze. Pasma Hasmas wygląda z dołu całkiem dostojnie. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że nieco przypomina osławioną Skałę Królewską (Piatra Craiului).

Droga miejscami jest błotnista, co znaczy że opady deszczu nie omijały tego rejonu. Szlak gwałtownie skręca w lewo. Ten moment łatwo przegapić. Obawiamy się trochę o nasze koleżanki idące z tyłu. Nawet chyba im strząteczkę z patyków ułożyliśmy na ziemi...

Wchodzimy w strefę pastwisk, owieczek i psów pasterskich. Po lewej minibacówka

z perforowanym dachem i całkiem pokazne stado owieczek.

Przez ten teren bezpiecznie przeprowadza nas tamtejszy pasterz. Pieski zrobiły się wtedy jakby spokojniejsze.

Nieco wyżej zaczynają się jakieś betonowe płyty, a stromizna jest nieludzka jak na taki wydawałoby się spokojny teren. Czasem trzeba się kijkami zapierać aby nie zjechać na butach kilka metrów w dół. Ten kto budował tutaj tą drogę musiał mieć pod górkę w szkole – zwłaszcza na fizyce. Każdy idzie swoim tempem. Tutaj można przyspieszyć wyłącznie w myślach. To po prostu walka o przetrwanie. Wreszcie następuje przełom, teren delikatnie się zaczyna wypłaszczać. Jeszcze kawałek w górę i stoimy przy schronisku Cabana Piatra Singuratică, znajdującym się na wysokości 1504 m n.p.m. Na ostatniej prostej kilka kropel deszczu spadło nam na nosy. Tym bardziej ucieszył nas finisz w schronie. Piwa lanego brak, ale jest półlitrowe w plastikowych butelkach po 6 lei. Oferta nie do odrzucenia. Robimy trochę zdjęć, bo nie wiadomo co się za chwilę będzie działo.

Otoczenie schroniska jest naprawdę przepiękne.

Do schroniska dociera też nasz kierowca z żoną. Szacun. Spędzamy tu prawie 2 godziny posiłkując się i spożywając co nieco. Deszcz pada, ale jakieś oberwanie chmury to nie jest. Po jakimś czasie dociera łącznik między nami a peletonem. Iść na Hășmașul Mare (1792 m n.p.m.) już nie ma sensu. Reszta już się zbliża do autokaru, a my byśmy się od niego oddalali. Jakoś będziemy musieli żyć bez tego jednego szczytowania. Po dwóch godzinach decydujemy się schodzić. W schronisku zostaje Aśka w oczekiwaniu na zasadniczą grupę.



Odpooczynek w drodze na szczyt Toaca (1904 m n.p.m.) w górach Ceahlău



Przy schronisku Cabana Pietra Singuratică (1504 m n.p.m.) w górach Hasmas

Jest ślisko. Wiem, że z moim kolaniem będę tutaj miał prawdziwą ścieżkę zdrowia, ale innego wyjścia nie ma. Schodzimy już znacznie łagodniejszym szlakiem niebieskim, choć i na nim momenty były.

Tutaj widoki są odwrotnie proporcjonalne do wysokości – prościej mówiąc – im niżej tym ładniej...

Jeszcze ostatnie ostre zejście i zaraz będziemy w miejscowości Balan. Na koniec podziwiamy ozdobną bramę i trzeba szukać jakiegoś baru. Udaje się w miarę szybko. Najedzeni i napici możemy spokojnie poczekać na resztę grupy. Docierają niedługo. Mówią do nas: ale stromy ten niebieski szlak, a wyście jeszcze musieli nim wchodzić. Taa, jaaasne, co wy wiecie o stromiznie szlaków w tym rejonie. Dzień był świetny, wiele się działo.

Przyznam, że tym razem nawet sam do końca nie wiedziałem gdzie idziemy. Ale było pewne, że na szczyt należący do Korony Gór Rumunii. Już wiem – pasmo Giurgeu i szczyt Şipos mierzący 1567 m n.p.m. Zaczynamy bezpośrednio z asfaltowej drogi. Ścieżka początkowo wznosi się leniwie w górę, ale z każdym metrem jej nachylenie delikatnie wzrasta. Tempo jak to z PTT – najpierw depniemy a potem się zobaczy. Pierwszy odpoczynek chyba po półtorej godziny.

Potem świetny kilkukilometrowy bardzo widokowy odcinek. Widać m.in. wczorajsze pasmo Hasmas. Po drodze mijamy

klimatyczny kościółek i docieramy do oryginalnego źródła rzeki Aluta (Olt), która jest lewym dopływem Dunaju mierzącym 615 km, czyli całkiem, całkiem. Po dłuższym odpoczynku ruszamy dalej na nasz główny cel, czyli szczyt Şipos. Widoki cały czas bardzo przyjemne.

I tak ni z tego ni z owego stajemy na szczycie, ale zaraz, zaraz – gdzie tu jest jakaś tabliczka? Nie ma nic... Co robić? Jacek sięgnął do plecaka po turystyczną siekierkę i tak oto powstała legendarna tabliczka na szczycie Şipos.

Po drodze robimy ognisko. Atmosfera zrobiła się piknikowa, ale to cisza przed burzą. Coś wisiąco w powietrzu. Coś za spokojnie dziś było. Zaczęty się dylematy jeśli chodzi o dalszy przebieg trasy. W takich sytuacjach nie ma sensu pchać się do przodu, bo zaraz i tak ci ostatni będą pierwszymi. Wizja chaszczowania wisi nad nami jak miecz Damoklesa. I wreszcie jest, zaczyna się, choć widoki wciąż niezłe. Potem już bez widoków.

Stromizna miejscami gigantyczna. Moje kolano tylko skwierczy. Ale to ostatni górski dzień na tym wyjeździe. Niech się dzieje co chce. W ciężkich bólach docieramy w rejon jaskini Peştera Şugău. W zasadzie dalsza droga była wielką niewiadomą, ale okazało się, że wcale nie jest tak źle. Jeszcze niespełna 2 km na butach i naszym oczom ukazał się czekający na nas kolorowy autokar. Wieczorem klasyczna oldschoolowa impreza. Frekwencja świetna, było jadło,

napitek, tańce i fantastyczne humory.

Jeszcze coś tam po drodze mieliśmy zwiedzać, ale ze względu na kawał drogi do Nowego Sącza, a dla niektórych jeszcze dalej (choćby taki Władek z Białegostoku) postanowiliśmy po prostu jechać i robić tylko niezbędne postoje.

To był kolejny świetny wyjazd z nowosądeckim PTT. To najlepsza grupa z którą mam okazję jeździć. Po kilku latach rozumiemy się już praktycznie bez słów. To co kiedyś wydawało się przeszkadzać, teraz bardziej bawi. Jesteśmy jednym teamem i razem to wszystko przeżywamy – na dobre i na złe – można by rzec. Świetnie było wrócić do Rumunii po 3 latach. Jedyne czego mi zabrakło – to swojskiej palinki, zakupionej gdzieś u gospodarza za płotem. Był za to alexandriem w ilościach odpowiednich.

Dziękuję wszystkim, którzy się przyczynili do tego, że wyjazd doszedł do skutku, a wcale to takie proste nie było. Krzyśkowi, Asi, Pawłowi (za przemierzanie niezliczonych ilości długości autokaru na chwałę nas wszystkich), Piotrkowi ze transport pod sam próg. Było pięknie, mimo iż nie wszyscy stali bywalcy wyjazdów do Rumunii z PTT tym razem pojechali. W sierpniu wyjazd w Fogarasze, na który niestety nie będę mógł jechać, a plan ambitny (Negoiu prosto z autokaru w pierwszy dzień – chapeau bas), ale kto jak nie Wy. No ale ten październikowy szlak winny ładnie się prezentuje na liście planów. Zatem oby do zobaczenia! ■

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/SOSNOWIEC)

Wojciech Halczyn „Stracony” – 90. rocznica śmierci

Urodził się w dniu 4 października 1863 r. w Lendaku na Spiszu. Pochodził z biednej rodziny pasterskiej, która zajmowała się wypasem owiec w Tatrach Bielskich i w Dolinie Kieżmarskiej. Sytuacja ekonomiczna zmusiła go do emigracji do Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał w latach 1897-1904. W czasie I wojny światowej walczył w armii austro-węgierskiej.

Polska ludność zamieszkująca Spisz i Orawę po zakończeniu wojny coraz śmielej zaczęła się domagać włączenia tych terenów do Polski. Wojciech Halczyn należał do najbardziej aktywnych w szerzeniu polskiej kultury na Spiszu. Nazywany był „Polskim Prezydentem”. Gdy w 1919 r. decydowała się sprawa przynależności Spisza zaangażował się w działalność Narodowego Komitetu Obrony Spisza, Orawy, Czadeckiego i Podhala.

Był w składzie delegacji do „Misji ambasadora Noulens’a” w Paryżu. W skład delegacji wchodził między innymi: Piotr Borowy z Orawy, Wojciech Halczyn ze Spisza, ks. Ferdynand Machay i przedstawiciel TT Kazimierz Rouppert. Delegacja z Polski przebywała w Paryżu w czasie trwania Konferencji Pokojowej prawie miesiąc na przełomie marca i kwietnia 1919 r.

Obecność w składzie delegacji przedstawicieli rdzennych mieszkańców Spisza i Orawy spowodowała, że w dniu 11



FOT. ARCHIWUM

kwietnia 1919 r. delegacja została przyjęta na specjalnej audiencji przez Prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona. Zarówno Borowy, jak i Halczyn z pobytu w USA wynieśli znajomość języka angielskiego. To dzięki tym przedstawicielom Spisza i Orawy sprawy tych ziem były rozpatrywane podczas Konferencji Pokojowej.

Gdy został rozpisany Plebiscyt Halczyn mocno zaangażował się w prace Głównego Komitetu Plebiscytowego. Do plebiscytu jednak nie doszło, bo Rada Ambasadorów dnia 28 lipca 1920 r. podjęła arbitralną

decyzję, która nie była korzystna dla Polki. Zarówno Lendak Wojciecha Halczyna jak i Rabczyce Piotra Borowego pozostały po drugiej stronie granicy. Warto dodać, że sytuacja międzynarodowa Polski i wojna polsko-bolszewicka nie stwarzała korzystnych warunków dla spraw Spisza i Orawy.

Obawiając się prześladowań nie powrócił do Lendaku znajdującego się na terenie Czechosłowacji. Osiadł dzięki pomocy polskich rodzin w Nowym Targu. Z czasem zatrudnił się jako drwal w rejonie Ludźmierza. Cały czas oczekiwał, że zapewnienia władz, iż otrzyma kawałek ziemi, zostaną spełnione. Niestety, tak się nie stało. Rozgoryczony wrócił do Lendaku, gdzie zaznał prześladowań. Zmarł w dniu 5 sierpnia 1932 r. w Lendaku i tam został pochowany.

To był smutny rok, bowiem w styczniu tego roku zmarł Piotr Borowy. Z inicjatywy ks. Ferdynanda Machaya powstał komitet uczczenia pamięci Wojciecha Halczyna. W dniu 18 października 1935 r. został na grobie Halczyna odsłonięty pomnik z tablicą w języku polskim. Po pięciu miesiącach Słowacy usunęli tablicę i zastąpili ją tablicą w języku słowackim. W Łąpszach Niżnych w dniu 2 sierpnia 1992 r. została w miejscowym kościele odsłonięta tablica poświęcona Halczynowi w 60. rocznicę śmierci. ■

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/SOSNOWIEC)

Andrzej Pietsch – 90. rocznica urodzin

Urodził się w dniu 13 sierpnia 1932 r. w Krakowie. Studiował na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 1986 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Współpracował z wieloma uczelniami w kraju: Poznań, Lublin, Katowice i Cieszyn. W latach 1972-1978 był prorektorem ASP w Krakowie, gdzie również pracował jako nauczyciel akademicki. W latach 1990-1991 zatrudniony jako *visiting professor* na uczelni w Montrealu.

Był wybitnym artystą grafikiem. Szczególnie bliskie mu były rysunki w technice: tusz i gwasz, a w grafice warsztatowej: akwaforta, akwatinta, cynkografia i wklęsłodruk.

Do roku 1999 posiadał ok. 70 wystaw indywidualnych oraz brał udział w ok. 200 wystawach zbiorowych.



FOT. MARIAN BAŁA - PTT/RAKÓW

Andrzej Pietsch był nie tylko wybitnym artystą plastykiem, ale również wybitnym taternikiem i alpinistą. Pod Tatry trafił już pod koniec lat 40-tych XX w., jeszcze jako uczeń Liceum Sztuk Plastycznych. W 1950 r. został członkiem Klubu Wysokogórskiego, a rok później członkiem zwyczajnym KW. W latach 1951-1957 należał do najbardziej aktywnych taterników, obdarzonych wybitną sprawnością fizyczną.

Lista jego osiągnięć jest długa, ale warto przypomnieć jego najważniejsze osiągnięcia: I wejście tzw. kantem południowej ściany Zamarłej Turni z Tadeuszem Strumiłą, zwane „Kantem Pietscha” (1951), I wejście zimowe wschodniej ściany Miękusowieckiego Szczytu razem ze

Stanisławem Worwą i Andrzejem Wilczkowskim (12-13 kwietnia 1953 r.), I wejście środkiem północno-wschodniej ściany Mnicha, tzw. „Wariant R” razem z Janem Długoszem (1955), I przejście zimowe filara Cubryny drogą Vogla z Janem Długoszem, Romanem Śledziewskim i Jackiem Żukowskim (6-7 stycznia 1956 r.), I zimowe przejście filara Mięguszowieckiego Szczytu razem z Janem Długoszem (1956), przejście środkiem północno-wschodniej ściany Kazalnicy Mięguszowieckiej razem z Janem Długoszem i Czesławem Momaćkiem (marzec 1957 r.).

W lecie 1957 r. zanotował pierwsze sukcesy w Alpach. W dniach od 31 lipca do 4 sierpnia 1957 r. dokonał I polskiego, a II w ogóle, przejścia grani Peutèrey w masywie Mont Blanc razem z Lechosławem Utrackim, Jerzym Warteresiewiczem i Stanisławem Worwą.

Wiele publikował, zarówno w prasie fachowej i popularnej na tematy wspinaczkowe. W 1962 r. współpracował jako dubler w filmie Sergiusza Sprudina pt. „Zamarta Turnia”.

W miarę doskonalenia swoich umiejętności taternickich został instruktorem,

a potem starszym instruktorem taternictwa.

Za swoje dokonania naukowe został w 1969 r. uhonorowany Nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki III stopnia. W 1974 r. otrzymał Nagrodę Miasta Krakowa.

Mieszkał w Krakowie, ale latem często przebywał w Gorcach, w swoim domu zbudowanym w przysiółku Skałka powyżej Ochotnicy Górnej. Zmarł w dniu 30 listopada 2010 r. i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. ■

JÓZEF HADUCH (O/CHRZANÓW)

Wojciech Kilar – wybitny kompozytor inspirowany Podhalem i Tatrami – 90. rocznica urodzin

Wojciech Kilar urodził się dnia 17 lipca 1932 we Lwowie. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Katowicach. Studiował grę na fortepianie i kompozycję w klasie Bolesława Woytowicza. W latach 1955-58 był aspirantem Woytowicza w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Edukację muzyczną uzupełniał jako stypendysta rządu francuskiego w Paryżu w latach 1959-1960, gdzie uczęszczał na zajęcia kompozycji do Nadi Boulanger.

W roku 1977 został członkiem-założycielem Towarzystwa im. Karola Szymanowskiego w Zakopanem. Przez wiele lat był też prezesem Oddziału Katowickiego Związku Kompozytorów Polskich. W latach 1979-1981 był wiceprezesem Zarządu Głównego Związku Kompozytorów Polskich. Był członkiem Komisji Repertuarowej Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”.

W 1974 roku skomponował swój najśłynniejszy utwór – poemat symfoniczny „Kzesany”. Utwór ten, to wynik fascynacji kulturą gór, wywołał powszechny szok, ale wśród melomanów wzbudził wielką furorę. Dwa lata później napisał kolejny górski utwór – „Kościelec 1909”, poświęcony Mieczysławowi Karłowiczowi, wybitnemu kompozytorowi, który w wieku 33 lat zginął przysypany lawiną pod Kościelcem w Tatrach, w 1909 roku. W kolejnych latach napisał utwór „Siwa mgła” na baryton i orkiestrę i „Orawę” w 1986 roku na orkiestrę kameralną.

Wybitny dyrygent Jan Krentz, po przejściu partytury „Kzesanego” powiedział zachwycony: *Otworzyłeś szeroko okno, by do muzyki polskiej wpuścić świeże góry*



Okładka płyty CD „Muzyka polskich gór” z 2017 roku

skie powietrze – utwór o prostej fakturze i wyraźnych motywach stał się jednym z największych przebojów polskiej muzyki współczesnej i przyjmowany był entuzjastycznie na całym świecie. Był pierwszym z serii utworów opartych na folklorze Tatr i Podhala.

W muzyce filmowej Kilar zdobył wielką światową sławę. Napisał muzykę do po-

nad 130 filmów. Rozgłos przyniosła mu współpraca z Francisem Fordem Coppolą nad filmem „Drakula”. W całe swojej karierze współpracował z wieloma reżyserami: Krzysztofem Zanussim, Bohdanem Porębą, Andrzejem Wajdą, Kazimierzem Kutzem, Krzysztofem Kieślowskim, Wojciechem Hasem, Tadeuszem Konwickim, Markiem Piwowskim i Romanem Polań-

skim. Oto niektóre powszechnie znane filmy z muzyką Kilara: „Czterej Pancerni i pies”, „Ziemia Obiecana”, „Zemsta”, „Pianista”, „Paciorki jednego różańca”.

Wojciech Kilar zmarł 29 grudnia 2013 roku w Katowicach. Jest pochowany w Katowicach na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza. ■

VARIA

BARBARA MORAWSKA-NOWAK (O/KRAKÓW)

Opuścił nas na zawsze Andrzej Wilczkowski „Wilk”

13 lipca 2022 roku zmarł po wieloletnich cierpieniach, związanych z chorobą Alzheimera, znany powszechnie w środowisku górskim, szczególnie przez swoją powszechnie znaną książkę „Miejsce przy stole” (na werandzie schroniska nad Morskim Okiem).

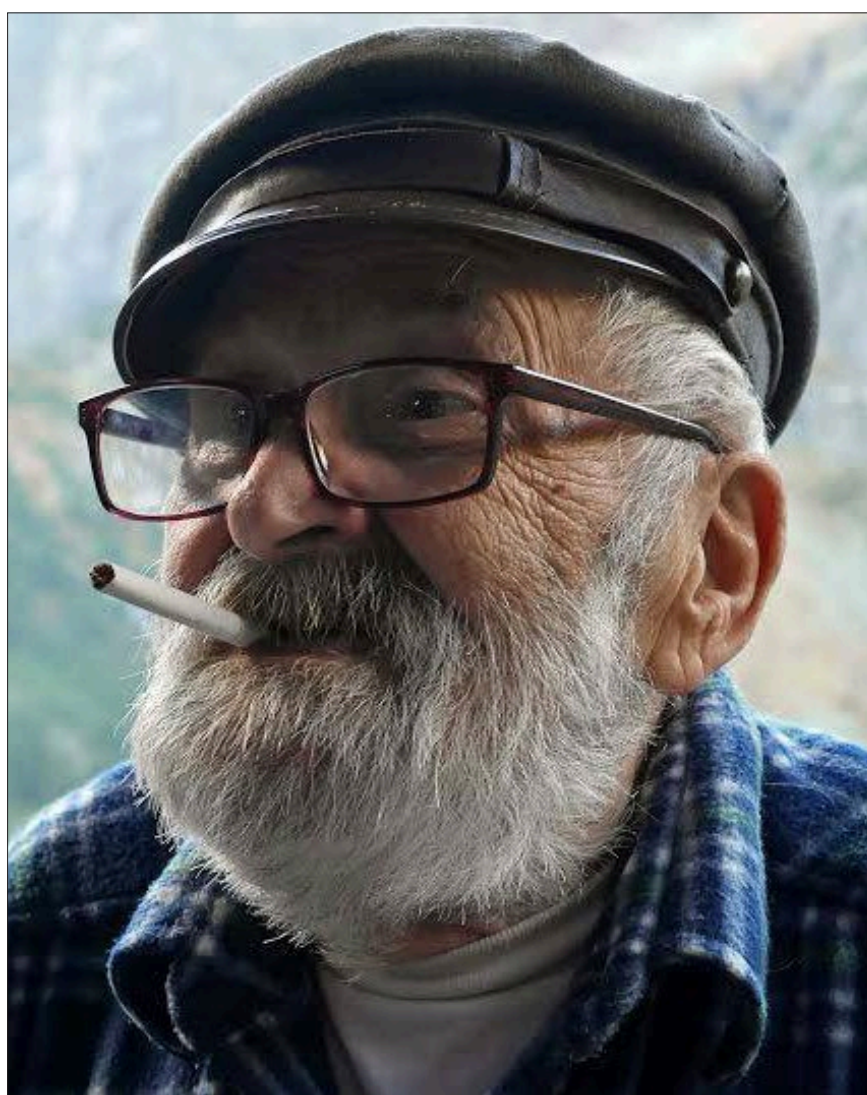
Urodził się 11 stycznia 1931 roku w Warszawie jako syn profesora Eugeniusza Wilczkowskiego, psychiatry i wykładowcy Uniwersytetu Łódzkiego i Uniwersytetu Warszawskiego oraz Marii Gwizdalskiej, córki Teodora Edmunda Gwizdalskiego, właściciela majątku Duki, położonego na terenie miasta Tarczyn. Brat matki, Gustaw Gwizdalski był pilotem i oficerem Dywizjonu 303.

Andrzej Wilczkowski, który był inżynierem po Politechnice Łódzkiej i wykładowcą akademickim, spełniał się także jako pisarz. W swoich książkach, opowiadał o miłości do gór, wspinaczkowych przygodach i prawdziwym partnerstwie na górskich wyprawach.

Był taternikiem, alpinistą, instruktorem, kierownikiem wypraw górskich, autorem opowiadań i książek o tematyce górskiej, wykładowcą akademickim, wynalazcą.

Był jednym z założycieli Łódzkiego Klubu Wysockiego, prezesem pierwszej kadencji i wielokrotnym członkiem władz klubowych. Przez 40 lat szkolił pokolenia taterników, zwłaszcza łódzkich, m.in. obecnego prezesa PZA Piotra Pustelnika. Swoją przygodę ze wspinaczką rozpoczął w 1948 roku. Ma na swoim koncie 16 pierwszych zimowych wejść. Wspinał się w Tatrach, Alpach, Kaukazie, Hindukuszu. Był kierownikiem wypraw górskich m. in. w góry Etiopii i w Hindukusz.

Był uczestnikiem pierwszych spotkań taterników-seniorów w Morskim Oku.



FOT. ARCHIWUM

Andrzej Wilczkowski

Na pierwszym takim zlocie w 1993 r. roku ofiarował mi swą książkę „Miejsce przy stole”. Od tego czasu byłem z Nim zaprzyjaźniona i będąc na Dniach Gór organizowanych przez Oddział PTT w Łodzi zawsze Go odwiedzałam.

W 2017 roku Prezydent Andrzej Duda nadał mu Krzyż Wolności i Solidarności.

Niestety w ostatnich latach dopadł go Alzheimer. Opiekowała się nim córka-jedynaczka Marta przenosząc się z nim na wieś poza Łodzią.

Został pochowany na Cmentarzu Starym przy ul. Ogrodowej w Łodzi 20 lipca br. ■

Mogielica w objęciach przedsiębiorcy ze Słopic



FOT. ARCHIWUM

Na placu budowy

Najpiękniejsza polana w Beskidzie Wyspowym, znajdująca się w otulinie rezerwatu przyrody, może stracić swój wyjątkowy i dziewiczy charakter – na Polanie Stumorgowej na Mogielicy rozpoczęto prace budowlane.

Swoją egzamin państwowy na uprawnienia przewodnika górskiego w Beskidach zdawał m.in. na Polanie Stumorgowej opisując szczegółowo panoramę, skąd są widoczne pasma Beskidu Żywieckiego Babia Góra, Gorce, Pieniny. Jest ona jedną z najpiękniejszych atrakcji turystycznych Beskidu Wyspowego i to właśnie tu rozpoczęła się budowa budynku. Część turystów odwiedzających w ostatnim czasie to miejsce błędnie zakładała, że to, co widać jest zapleczem firmy, która realizuje w pobliżu budowę nowej wieży widokowej. Okazuje się jednak, iż jest to niezależny plac zupełnie innej budowy, a na ogrodzeniu znajdowała się tylko reklama spółki z Chorzowa – budującej wieżę.

Działka, na której realizowana jest inwestycja, leży nie tylko w bezpośrednim sąsiedztwie rezerwatu przyrody, ale i w jego

otulinie, przez co została wpisana do Centralnego Rejestru Form Ochrony Przyrody. Znajduje się w Południowomałopolskim Obszarze Chronionego Krajobrazu. Oprócz tego, w wyrysie ze studium MPZP z 2016 roku teren znajdował się w obszarze projektowanego Parku Krajobrazowego Kamienicy Szczawskiej.

W 2003 roku ówczesny właściciel wniósł do gminy o przekształcenie charakteru działki z rolnej na leśny, zyskując akceptację samorządu. W roku 2010 RDOŚ wyznaczyła granicę rezerwatu przyrody, a działka włączona została do otuliny rezerwatu. Gdy w 2015 roku obecny właściciel składał wniosek o przekształcenie i prawdopodobnie uzyskuje pozwolenie na budowę, działka znów była gruntem rolnym. Rok później miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego uznaje ten teren za grunt rolny bez możliwości jakiegokolwiek zabudowy – to aktualny zapis MPZP.

W 2018 roku na działce wmurowano w grunt pustaki, wyznaczające prawdopodobnie krawędzie trzech niewielkich

budynków. W ubiegłym roku dołożono kolejne pustaki, a przed zastygnięciem betonu wryto na nim datę – 25 sierpnia 2021 roku. Jak można sądzić, wszystko po to, by wydane przed laty pozwolenie na budowę nie straciło ważności. Teraz w jednym z tych miejsc wszystkie pustaki wyznaczające krawędzie budynku zostały wyrwane z gruntu, a na ich miejscu rozpoczęto roboty.

Na placu budowy znajdują się maszyny budowlane – koparka i tzw. wozidło. Tymczasem, właściciel terenu otrzymał pozwolenie na dojazd na terenach leśnych pomiędzy osiedlem Mrózki w Pólrzeczkach a Halą Stumorgową jako „osoba użytkująca grunty rolne”. Wspomniane pozwolenie zostało wydane na konkretne pojazdy osobowe (z wyszczególnieniem ich numerów rejestracyjnych) oraz ciągnik rolniczy.

Obecnie wykonywane prace obejmują tzw. stan zerowy – czyli fundamenty. Wykonano wykop, który zabezpieczono następnie folią, a na miejscu zgromadzono stal zbrojeniową i betonowe bloczki szalunkowe.

Właścicielem terenu i inwestorem, jest przedsiębiorca ze Słopnic. Pozwolenie na budowę uzyskał on krótko przed zmianą miejscowego planu zagospodarowania, która nastąpiła w sierpniu 2016 roku. W zamierzeniach inwestora jest budowa schroniska – ma to być „na razie” jeden budynek, oferujący około 12 miejsc noclegowych. Teraz roboty budowlane mają się zintensyfikować, bo właściciel zamierza uruchomić swój obiekt już w przyszłym roku.

Po jakimś czasie właściciel gruntu poinformował i powiedział, że planowane przez niego przedsięwzięcie nie ma charakteru komercyjnego i formalnie wznosi w tym miejscu budynek gospodarczy – baczówkę o powierzchni 35 metrów kwadratowych. Ma ona służyć turystom szukającym odpoczynku lub schronienia, a przekształcenie baczówki w schronisko mogłoby nastąpić w późniejszym czasie w ramach punktowej zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. W kontekście wieloletnich starań, obejmujących m.in. uzgodnienia na ministerialnym szczeblu, inwestor stwierdził, że jego intencją jest „upamiętnienie papieża”, który w tym miejscu miał odprawiać rekolekcje. Swoje słowa o schronisku tłumaczył natomiast tym, że jest to pewne uproszczenie, którego używa, gdy zagadują go turyści.

Wg dokumentów związanych z działką, pochodzących z 2015 i 2016 roku. Za pierwszym razem właściciel nieruchomości wnioskował o zmianę planu zagospodarowania przestrzennego, by działkę przeznaczyć pod „budowę schroniska turystycznego wraz z miejscami noclegowymi oraz zapleczem kuchennym, salą konsumpcyjną, zapleczem sanitarnym i technicznym”. Wniosek nie został jednak uwzględniony. – *W wyniku roboczych rozmów, analizy i wizji w terenie przedstawiciel Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Krakowie Wydział Spraw terenowych w Starym Sączu stwierdził brak możliwości uzgodnienia zmiany projektu planu w zakresie wnioskowanej działki – uzasadniono.*

Za drugim razem właściciel chciał zmiany dotychczasowego przeznaczenia (tereny rolne) na teren „pod działalność usługową w zakresie turystyki i rekreacji z możliwością jej celowej zabudowy na potrzeby takowej działalności”. – *Przedmiotowa nieruchomość usytuowana jest u podnóża szczytu górskiego Mogielica, stanowiącego jeden ze szczytów Beskidu Wyspowego. Przez w/w nieruchomość przebiega nieformalny (nieuregulowane prawnie korzysta-*

nie z mojej nieruchomości) oznakowany szlak turystyczny. Jest to szlak o stosunkowo wzmocnionym ruchu turystycznym, który generuje pozostawiane w sezonie śmieci (odpadki jedzenia, papiery, butelki itp.). Wraz z upływem czasu można zaobserwować wzrastającym trend zainteresowania tym rejonem przez turystów pieszych. Mając na uwadze powyższe, uzasadnionym wydaje się umożliwienie powstania w tym rejonie obiektu o charakterze niewielkiego schroniska turystycznego, dzięki czemu w opinii wnioskodawcy zyska zarówno region (wzrost zainteresowania turystyką, rozwój przedsiębiorczości agroturystycznej w okolicy, większe wpływy finansowe samorządu) jak też środowisko przyrodnicze (istnienie schroniska to eliminacja pozostawiania śmieci na szlaku) – pisał właściciel gruntu w kolejnym wniosku, prosząc o „szeroką analizę” i pozytywne ustosunkowanie się do wniosku. Odpowiedź była jednak negatywna.

Administracyjnie działka na Polanie Stumorgowej znajduje się na terenie gminy Dobra – w miejscowości Pótrzczyki. Jak to się stało, że w tym miejscu jest możliwość zbudowania komercyjnego obiektu? Wg wójta Benedykta Węgrzyna. – *Uchwała o zmianie planu zagospodarowania przestrzennego była podejmowana w sierpniu 2016 roku. To, co wcześniej toczyło się w ramach zgłoszeń czy decyzji o pozwoleniu na budowę, miało miejsce poza działaniem gminy. Trudno mi więc to komentować, bo ta sprawa wykracza poza kompetencje wójta, reprezentującego gminę. Prywatnie mogę natomiast powiedzieć, że największym problemem ostatnich 30 lat Polski jest fakt, iż nie mamy żadnego łącznika pomiędzy własnością prywatną a dobrem wspólnym i potrzebami ogółu mieszkańców. To przeszczerń prawna, która nie jest zagospodarowana. Można powiedzieć, że rządzi tym jedynie prawo zwyczajowe, które nie każdy respektuje – powiedział Benedykt Węgrzyn.*

Szczegółowe informacje dotyczące zakresu przedsięwzięcia można uzyskać w Starostwie Powiatowym w Limanowej.

A oto komentarz radnego wojewódzkiego z Limanowej Grzegorza Biedronia, który jest równocześnie prezesem Małopolskiej Organizacji Turystycznej. Jego zdaniem, na Mogielicy mogłoby powstać schronisko turystyczne, ale nie widzi takiej możliwości dla komercyjnego obiektu.

– *Jeśli się to potwierdzi, to byłaby to prawdziwa katastrofa. Na naszym terenie rzeczywiście pojawiają się dewelo-*

perzy, wzorem Podhala, ale te inwestycje są realizowane na odpowiedniej wysokości i w odpowiednim miejscu. Domki na Polanie Stumorgowej, na Mogielicy – to jakieś szaleństwo. To bardzo dziwne, że taka inwestycja ma być prowadzona w sąsiedztwie rezerwatu. Wiadomo, że jeśli takie obiekty powstaną, to wraz z nimi kolejną będą naciski na budowę drogi asfaltowej. To nie jest miejsce na tego typu komercyjne obiekty, będą one ze szkodą nie tylko dla przyrody, ale i dla turystyki – mówi Grzegorz Biedroń.

Z uwagi na sąsiedztwo rezerwatu przyrody na Mogielicy o sprawie poinformowaliśmy też Regionalną Dyrekcję Ochrony Środowiska w Krakowie.

Zastanawiające jest, jak było możliwe uzyskanie pozwolenia na budowę jakiegokolwiek budynku na takim odludziu, zwłaszcza że bywa to niekiedy bardzo problematyczne w miejscach znajdujących się znacznie bliżej „cywilizacji”, a często wręcz wśród innych zabudowań. Z kolei pasjonaci gór i turyści mówią o „skandalu”, który zniszczy jeden z najpiękniejszych widoków w Beskidzie Wyspowym.

Polana Stumorgowa jest największą polaną w całym Beskidzie Wyspowym. Znajduje się na wysokości ok. 1000–1100 m n.p.m. Jej nazwa pochodzi od dawnej jednostki mierzenia powierzchni zwanej morgiem (równiej w przybliżeniu 0,5 ha – w rzeczywistości polana miała dużo większą powierzchnię), a powstała w wyniku pasterskiej działalności Wołochów w XIV-XV wieku. Z Polany Stumorgowej rozciągają się widoki m.in. Gorce, Pieniny, Tarty i Babią Górę.

Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego w Limanowej, po kontroli na miejscu i wszczęciu postępowania, wydał decyzję o wstrzymaniu prac przy budowie na Polanie Stumorgowej na Mogielicy.

Po publikacji w mediach na temat trwającej budowy na działce znajdującej się w otulinie rezerwatu przyrody na Polanie Stumorgowej na Mogielicy Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego w Limanowej przeprowadził kontrolę placu budowy.

Po wszczęciu postępowania PINB w Limanowej wydał postanowienie o wstrzymaniu robot budowlanych w zakresie realizowanej inwestycji. – *Obecnie gromadzony jest materiał dowodowy celem prowadzenia dalszego postępowania administracyjnego – informuje limanowski nadzór budowlany.*

Opracowano na podstawie aktualności w Internecie oraz newslettera SKPG. ■

Tragedia na Marmoladzie w Dolomitach



FOT. SOCCORSO ALPINO E SPELEOLOGICO VENETO - CNSAS

Miejsce oberwania się fragmentu lodowca

W niedzielę, 3 lipca 2022 r. ze szczytu Marmolady runęła lawina skalno-lodowa, odrywając się od największego lodowca Dolomitów. Była to rzeka lodu, skał i kamieni, która popłynęła na uczęszczaną, prowadzącą na szczyt drogę. Prawdopodobnie nagłą śmierć poniosło siedem osób, a kolejnych trzynaście uznano za zaginionych.

Służby ratownicze podjęły natychmiastowe działania identyfikując ofiary i pomagając rannym. W akcji ratowniczej pomagały przeszkolone psy, posługiwano się też urządzeniami odbierającymi sygnały z telefonów komórkowych. Po niedługim czasie, jeszcze w niedzielę, zaprzestano dalszych poszukiwań w terenie, ze względu na wciąż występujące zagrożenie lawinowe. Zalegający pod Punta Rocca fragment lodowca może runąć w każdej chwili. Szef górskiego pogotowia Maurizio Dellantonio powiedział, że „ciała mogą się wynurzyć po kilku tygodniach lub nawet miesiącach, kiedy ciepła pogoda roztopi lód, który je pogrzebał”.

Według ekspertów katastrofa ta była prawie pewna. Zapowiadały ją: brak opadów śniegu zimą, brak deszczów wiosną i wczesnym latem, a także rekordowo wysokie temperatury powietrza. Przez cały czerwiec temperatura na Marmoladzie powyżej 3000 m n.p.m. wynosiła 0°C lub więcej. Siedem razy przekroczyła 10°C, a 20 czerwca osiągnęła nawet 13°C. W dniu tragedii było to 10,7°C.

Topnienie lodowców w Alpach jest jednym z wielu zjawisk wynikających ze zmiany klimatu i ocieplenia. Eksperci i naukowcy potwierdzają, że w ciągu 10 lat powierzchnia lodowca na Marmoladzie zmniejszyła się o jedną czwartą, a objętość lodu zmalała w tym samym czasie o 30%, do 17,5 mln metrów sześciennych. Podobnie się dzieje w Himalajach, gdzie lodowce nawet na wysokości 5000 m n.p.m. są bardzo kruche.

Efektom zaistniałego zjawiska jest zamknięcie Marmolady dla turystów i wspinaczy do końca lata i jesieni. Nietrudno jest przewidzieć co stanie się w niedługim

czasie, gdy proces wzrostu temperatur nie zostanie zatrzymany. Premier Włoch, Mario Draghi zapewnia, że rząd podejmie takie działania, aby podobna tragedia się nie powtórzyła i ogłosił stan wyjątkowy z powodu suszy w Emilia Romagna, Friuli Wenecja Julijska, Lombardia, Wenecja Euganejska i w Piemoncie. Tymczasem mimo wprowadzonych zakazów turystyki i alpinisty nie zaprzestali się poruszać i wspinacz w zagrożonym lawinami lodowymi masywie Marmolada.

Trzeba przypomnieć adeptom turystyki i wspinania PTT o tragedii, która wydarzyła się czternaście lat temu, właśnie na Marmoladzie w Dolomitach, podczas wyprawy Oddziału Akademickiego PTT w Radomiu. Dnia 11 sierpnia 2008 r. roku zginął podczas zejścia z Marmolady Tomasz Mazur, Prezes Oddziału Akademickiego PTT przy Wyższej Szkole Inżynierskiej im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu. Tragedia ta m.in. przyczyniła się do zakończenia działalności Oddziału Akademickiego. Do dnia dzisiejszego Oddział nie wznowił działalności. ■

W krainie bożka Ary

Góra Ararat (5137 m n.p.m.) stała się głównym celem tegorocznej wyprawy. Moim partnerem wspinaczkowym został Piotr, doświadczony uczestnik i zarazem lekarz wielu trudnych, wysokogórskich wypraw. Start zaplanowaliśmy na drugą sobotę czerwca z lotniska im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Podobnie jak to miało miejsce podczas niemal wszystkich dotychczasowych wypraw dotarcie rankiem z Bielska-Białej na to lotnisko było niemożliwe z powodu braku odpowiednich połączeń. Byłem zatem zmuszony wyjechać z domu dzień wcześniej. Cena za bilet lekko „zwałała z nóg”, z 30% zniżką zapłaciłem 169 zł. Pociąg był pełen pasażerów. Problem z dostępnością miejsc pojawił się już w Czechowicach-Dziedzicach. Tuż obok mnie miejsca zajęła pięcioosobowa rodzina z objętej wojną Ukrainy. Gdy kontrolujący poprosił o bilety okazało się, że ich nie posiadają. Kupić biletów u niego nie mogli bowiem nie było już wolnych miejsc, a i naliczana dodatkowa opłata wynosiła grubo ponad 100 zł do każdego z nich. Konduktor okazał się wyrozumiałym człowiekiem i polecił im, by dojechali do Katowic i tam wysiedli i ewentualnie kupili bilety na inny pociąg.

Ten, którym podróżowałem, był najszybszy jaki jechał w tym czasie z Bielska-Białej do stolicy. W południe byłem już na Dworcu Centralnym. Nocleg miałem zarezerwowany w hostelu i choć był on oddalony dokładnie o 1,2 km od dworca to dotarcie do niego na piechotę w ten upalny dzień z moimi bagażami nie było łatwe. Obok dworca funkcjonował postój taksówek. Pierwsi trzej panowie zażądali za taki kurs 80 zł, ostatni zgodził się na 30 zł. Po dotarciu na miejsce dostałem dwuosobowy pokój z łazienką. Hostel też się zmienił. Przede wszystkim zmienił się jego właściciel. Poprzedni nie przetrwał pandemii.

Wstałem skoro świt i na piechotę dotarłem na Dworzec Warszawa Śródmieście. Podczas przejazdu na lotnisko, byłem świadkiem jak młody Polak kupił Ukraince bilet, by nie jechała na gapę. W hali odlotów kłębiły się tłumy podróżnych w tym, co było dla mnie pewnym zaskoczeniem, kilkunastu obywateli Federacji Rosyjskiej. Niebawem pojawił się Piotr. Do Stambułu wystartowaliśmy planowo. Mój partner wspinaczkowy panicznie bał się latać i pragnąc uśmierzyć jakiś strach „znieczulał” się co jakiś czas alkoholem. Gdy samolot osiągnął wysokość przelotową podano

smaczny posiłek. I tu, kolejny raz, spotkała nas niespodzianka możliwa tylko na pokładach tureckich linii lotniczych. Do posiłku dostaliśmy metalowe, ostre noże.

Lot przebiegł bez problemów i wczesnym popołudniem wyruszyliśmy do hotelu, który położony był w ścisłym centrum Starego Stambułu. Zanim wsiedliśmy do busa pilnujący porządku na postoju pracownik lotniska pomógł nam w negocjacjach. Kierowca nie chciał słyszeć o zapłacie w miejscowej walucie. Interesowały go wyłącznie euro albo dolary. Było parno i duszno. O tej porze dnia korki były ogromne i przejazd trwał ok. 1,5 godz.

Turcja to duży kraj liczący ok. 784 tys. km² powierzchni. Zamieszkuje go blisko 85 mln mieszkańców. Językiem urzędowym jest turecki, a walutą – lira turecka. Tak na marginesie dodam tylko, że gdy przylecieliśmy za 1 euro płacono ok. 17,20 liry, a gdy wylatywaliśmy dwa tygodnie później do kraju za 1 euro płacono już 18,23 liry. Stolicą Turcji nie jest Stambuł, lecz Ankara. Czas lokalny był tu przesunięty o godzinę w stosunku do czasu w naszym kraju.

Kierowca busa nie mógł znaleźć naszego hotelu i sprytnie tłumacząc się zakazem wjazdu w przecznice, gdzie rzekomo miał się znajdować, wysadził nas wprost na chodnik wąskiej, zatłoczonej ulicy. Na chwilę skutecznie zablokowaliśmy ruch samochodów i dwóch tramwajów. Z ogromnymi bagażami kluczaliśmy przez pół godziny zanim wreszcie odnaleźliśmy hotel. Dostaliśmy całkiem schludny pokój. Od razu postanowiliśmy wyruszyć w to ogromne miasto. Stambuł to kulturalne, finansowe i handlowe a także turystyczne centrum Turcji. To jedyne miasto świata położone na dwóch kontynentach. Jego korzenie sięgają epoki kamienia. Od 660 r. p.n.e. było znane jako Bizancjum, a od 330 r. n.e. jako Konstantynopol. Miasto zajmowało ponad 1500 km² i zamieszkiwało je ok. 16 mln mieszkańców, co czyniło je najludniejszym nie tylko w Europie. Dotąd miałem okazję podziwiać je kilkakrotnie z pokładu samolotu podczas międzylądowania na tutejszym lotnisku. Z lotu ptaka wyglądało niesamowicie. Teraz mogłem po nim spacerować. Stambuł to miasto zabytków i muzeów. Jeśli wierzyć turystycznym ulotkom to działa w nim ponad 2000 meczetów, 100 kościołów i 25 synagog. Pierwsze wrażenie miałem takie, że miasto to żyje wyłącznie z handlu. Prawie każda wolna przestrzeń była wy-

korzystwana na sklepy bądź niewielkie stoiska. Po chodnikach krążyło także wielu sprzedawców, którzy „z ręki” próbowali coś sprzedać. Można tu było dostać niemal wszystko.

Jak już wspomniałem, nasz hotel położony był w starej części miasta zatem po kilku minutach dotarliśmy w pobliże Hagia Sophia. Podczas wykładów z historii architektury miałem okazję poznać dość dobrze tę niezwykłą budowlę. Teraz prezentowała się przede mną w całej okazałości. Żadna fotografia nie odda wiernie jej ogromu i piękna. Od VI w. pełniła ona różne role, od kościoła Mądrości Bożej w stylu bizantyjskim po meczet, muzeum i ponownie meczet. Pomimo tłumów i wszechobecnych posterunków policji udało się nam bez problemu wejść do środka. Zanim to zrobiliśmy w zabytkowej fontannie służącej do ablucji oplotaliśmy sobie stopy. Tuż przed wejściem do nawy głównej należało zdjąć buty. Obok były ogromne stojaki. Jednak pozostawienie jedynej pary zwykłych butów jakie miałem wśród tysiąca innych wydało się mi mało rozsądne. Włożyłem je do reklamówki i nosiłem ze sobą. Wewnątrz niewiele pozostało symboli chrześcijańskich. Muzułmanie główną nawę traktowali jako salę modlitw choć nie bardzo można się było skupić w tłumie zwiedzających. Następnie podeszliśmy do Błękitnego Meczetu Sułtana Ahmeda. Ze względu na prace remontowe niewiele mogliśmy zobaczyć. Co ciekawe, ochrona nie wpuszczała tu par w krótkich spodniach i z odkrytymi ramionami. Każda dostawała odpowiednio duże chusty i musiała się nimi okryć.

W nocy niewiele spaliśmy. Nasz pokój miał okna wychodzące na ruchliwą, pełną knajpek ulicę. A tu głośnie zabawa trwała niemal do rana. Około godz. 4 zrobiło się nienaturalnie cicho. Ale tylko na moment. Nagle w całym Stambule rozległ się melodyjny i przejmujący śpiew muezinów wzywających do Fadzr, modlitwy przed wschodem słońca. Rankiem przejazd na lotnisko trwał o wiele krócej bowiem ulice były niemal puste a i pogoda się popsowała i zaczęła padać rzęsy deszcz. Przed wejściem do hali odlotów musieliśmy się poddać kontroli bezpieczeństwa. Nasze bagaże zostały prześwietlone i pojawił się problem. Obsługująca skaner funkcjonariuszka zobaczyła na ekranie czekany i raki i wszczyła alarm. Zrobiło się spore zamieszanie. Mu-

siliśmy wyjąć je z bagażu i dobrą chwilę trwało zanim wezwany szef ochrony zrozumiał do czego służą i pozwolił nam przejść. W samo południe wylądowaliśmy w Wan, mieście we Wschodniej Anatolii zblizonym ilością mieszkańców do Katowic z tą różnicą, że położone ono było na wysokości mniej więcej szczytu Babiej Góry (1725 m) oraz ogromnym słonym jeziorem o tej samej nazwie.

Przed terminalem czekał na nas busik i kurdyjski przewodnik Yakup. W związku z tym, że Ararat znajduje się w strefie zmilitaryzowanej działalność na nim wymaga uzyskania odpowiedniego zezwolenia i możliwa jest tylko w zorganizowanej grupie. Yakup prowadził agencję wyprawową i wzięł te formalności na siebie. Przylecieliśmy planowo i do wieczora mieliśmy jeszcze sporo czasu. Zatem, by go nie marnować wybraliśmy się w rejs po jeziorze Wan na wyspę Akdmar. Znajdowały się tu ruiny chrześcijańskiego klasztoru. Rejs w jedną stronę trwał ok. pół godziny a jego główną atrakcją, obok przepięknych widoków, była kilkudziesięcioosobowa grupa Irańczyków. Mieli ze sobą bębniarzy i od razu po zakrętowaniu rozpoczęli zabawę. Były śpiewy, które trochę przypominały nasze disco polo i tańce oraz zakazany dla wyznawców islamu alkohol!!!

Zaraz potem ruszyliśmy do Dogubayazit (ok. 171 km). Po przejechaniu może 10 km zatrzymaliśmy się przy restauracji specjalizującej się w szaszłykach. Od razu zjawił się obok nas szef sali o imieniu Kerem, przywitał się z każdym z nas i błyskawicznie zorganizował nam stolik. O tej porze było tu ok. dwustu gości. Herbata, podana na sposób turecki, jak i sałatki warzywne, które można było zamawiać bez ograniczeń, były gratis. Płaciło się za szaszłyki. Alkoholu nie podawano tu pod żadną postacią. Szaszłyki były duże, smaczne i o połowę tańsze niż w Stambule.

Droga, którą jechaliśmy robiła wrażenie. Dwupasmowa jezdnia wiała się przez górskie przełęcze. Wielkie połacie niektórych wysoko położonych łąk porastała lawenda. Po drodze mijaliśmy linie wojskowych fortyfikacji. Na szczytach gór wybudowano potężnie umocnione forty. Wyglądały tak jakby szykowano się do rychłej wojny. Przy drodze umieszczone były liczne posterunki wojskowe i dwa razy zatrzymano nas do kontroli. Wreszcie, po trzech godzinach jazdy, dotarliśmy do „Wrót Persji” – tak bowiem określane było Dogubayazit. Miasto to położone było zaledwie 30 km od granicy z Iranem. Zamieszkiwało je ok. 50 tys. mieszkańców. Ze względu na swoje

położenie stało się główną bazą wypadową wypraw na Ararat.

Gdy po rozpakowaniu bagażu w hotelowym pokoju wyruszaliśmy w miasto powoli zapadał zmrok. Nie było tu zbyt wielu atrakcji turystycznych niemniej, dla nas Polaków, kraina Kurdów to było egzotyczne miejsce. Główny, kilkusetmetrowej długości deptak, rozświetlały dziesiątki dekoracji przypominające te nasze świąteczne. Cały czas nie opuszczało mnie wrażenie jakbym znalazł się w Bielsku-Białej w okresie bożonarodzeniowym. Funkcjonowały tu liczne ogródki, w których siedzieli wyłącznie mężczyźni popijając herbatę i paląc siszę. Dzień zakończyliśmy smaczną kolacją w jednej z dziesiątek działających tu knajpek.

Rankiem rozpoczęliśmy górski etap wyprawy. W hotelu, w depozycie, zostawiliśmy wszelkie zbędne rzeczy. Nie było sensu zabierać je ze sobą pod szczyt. Góra Ararat to wygasły wulkan i rzekome miejsce spoczynku Arki Noego. Cały masyw leży w samym sercu Wyżyny Armeńskiej. Powierzchnia masywu to ok. 1000 km². Składa się z dwóch szczytów: Wielkiego Araratu (5137m) i Małego Araratu (3896m). Obecnie, po rzezi Ormian w 1915 r., tereny wokół Araratu zamieszkiwane są przez napływową ludność turecką i kurdyjską. Nie zmienia to faktu, że ta góra położona jest na historycznie ormiańskich terenach i jest głęboko zakorzeniona w świadomości Ormian. Zdaniem Yakupa, nazwa góry pochodziła prawdopodobnie od Ary-Bożka z epoki brązu.

Dzień był pogodny i już rankiem temperatura przekroczyła +30°C. Busem, szutrową drogą, podjechaliśmy powyżej wioski Eli (2100m). Sama wioska zrobiła na mnie przynębiające wrażenie. Domy w większości były jednokondygnacyjne z płaskim dachem i sprawiały wrażenie jakby za chwilę miały się rozlecieć. Obok ułożono sterty krowich odchodów suszonych prawdopodobnie na opał. Widać było, że są to bardzo ubogie tereny. Wcześniej minęliśmy kilka dużych, nowoczesnych osiedli ogrodzonych murem i pilnowanych przez turecką armię. Wzajemne relacje pomiędzy społeczeństwem turecką a kurdyjską musiały być tu bardzo napięte. Nasze główne bagaże zostały załadowane na konie i ruszyliśmy do obozu I. Powoli pięliśmy się do góry w coraz bardziej księżycowym krajobrazie. W koło leżały ogromne głązy czarnej, zastygłej lawy po potężnej i gwałtownej erupcji wulkanu. Pomiedzy nimi rosły kępy trawy. Żar lał się z nieba niemiłosiernie. W połowie drogi zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek obok obozowiska kilku kurdyjskich rodzin.

Na spotkanie wybiegła nam gromadka umorusanych dzieci. Te trochę starsze pracowały już przy obsłudze turystów. Starsza pani poczęstowała nas herbatą. Był to bardzo miły gest z jej strony. Po ok. 6 godz. dotarliśmy do obozu I położonego na wys. 3350m. Byliśmy, obok kilku Rosjan z agencji 7Summit, pierwszą ekipą w rozpoczynającym się właśnie letnim sezonie. Obóz należało zatem zbudować. Z Piotrem rozbiliśmy swój namiot na małym skrawku płaskiego terenu. Kurdowie błyskawicznie postawili namiot messy i kilka innych namiotów służących za kuchnię i magazyny.

Pogoda zmieniała się błyskawicznie. W ciągu godziny przeszły nad nami trzy burze z piorunami a nawet zaczęła padać śnieg i wokół zrobiło się białe. Ale jak na razie było OK. Póki co, obóz I nie był do końca urządzony. Przede wszystkim nie było toalet. Każdy załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne gdzie uważał. A przez „jedynkę” przepływał strumień, z którego czerpano wodę do kuchni. Wieczorem Piotr poczuł się źle. Bolał go żołądek. Moje problemy zaczęły się niebawem. Zaczęłam wymiotować i tak było mniej więcej do północy. Potem zaczęła mnie nękać biegunka. I tak do rana.

Ze śniadania nie zjadłem nawet kęsa. Razem z Piotrem zażyliśmy po kilka dawek różnych leków na raz i póki co udało się nam wymioty i biegunki zatrzymać. W kilkuosobowej grupie wyruszyliśmy, w ramach zaplanowanej aklimatyzacji, do miejsca gdzie miał powstać obóz II (4100 m). Byłem jednak strasznie osłabiony. A tu jak na złość pogoda się poprawiła i słońce znowu paliło niemiłosiernie. Podejście było strome i bardzo kamieniste. Każdy krok przychodził mi z wielkim trudem. Po pokonaniu 400 m w pionie poddałem się i ok. południa wróciłem do „jedynki”. Po wejściu do namiotu natychmiast zasnąłem. Późnym popołudniem obudził mnie Piotr. Nadal nie czuł się dobrze. Obaj zrezygnowaliśmy z kolacji. Leki na szczęście działały i noc przespaliśmy spokojnie.

Rano spakowaliśmy wory ze sprzętem, zwinęliśmy namiot i ruszyliśmy do obozu II. Na śniadanie zjadłem dosłownie trzy kęsy miejscowego chleba, który przypominał nasze naleśniki. Nic więcej nie mogłem przełknąć. Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Padał deszcz, po chwili śnieg a następnie świeciło słońce. Tak naprawdę szedłem siłą woli. Byłem strasznie osłabiony. Jednak po 5 godzinach wspinaczki dotarliśmy do „dwojki”. Była ona położona na wąskiej, pochyłej i jeszcze zaśnieżonej grani. Trudno było znaleźć miejsce

pod namiot. Tak naprawdę, właśnie z braku miejsca, rozbiliśmy go tylko częściowo i z trudem mogliśmy się w nim we dwójkę pomieścić. O wygodzie można było tylko pomarzyć. W nocy Piotr zsuwał się na mnie co także utrudniało zaśnięcie.

Wyjście do ataku szczytowego zaplanowaliśmy na godz. 1 w nocy a zatem na wypoczynek niewiele pozostało nam czasu. Znowu nic nie zjadłem. Wypiłem tylko kilka tyków herbaty. Załadowałem jednak do plecaka dwa pełne termosy oraz kilka batoników. Po północy temperatura spadła do -11°C . Pięknie wygwieżdżone niebo dawało tyle światła, że na razie nie było potrzeby używać czołówek. W dole błyszczały światła Dogubayazit. Po przejściu 100 m w pionie pojawiło się przed nami ogromne, strome, śnieżne pole i należało założyć raki. Gdy zaczynało świtać temperatura spadła jeszcze o kilka stopni. Im byliśmy wyżej, tym pogoda bardziej się psuła. Na koniec weszliśmy w mgłę i widoczność spadła do zaledwie kilku metrów. Dokładnie o godz. 7.30 stanęliśmy na szczycie Araratu. Mocno wiało, padał śnieg, widoczność była zerowa. Nie ukrywam, że poleciało mi kilka łez. W stanie w jakim byłem nie miałem prawa się tu znaleźć. Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć rozpoczęliśmy schodzenie. Do „dwójki” dotarliśmy w samo południe. Wpadliśmy do namiotu i od razu zasnęliśmy kamiennym snem. Po trzech godzinach wstaliśmy, spakowaliśmy nasze rzeczy i rozpoczęliśmy schodzenie do „jedynki”. Po dotarciu na miejsce pogoda się poprawiła i wyszło słońce. Korzystając z okazji rozłożyliśmy nasze puchowe śpiwory, by choć trochę przeschnęły, po czym usiedliśmy przed namiotem na białych plastikowych krzesłach delektując się ciepłymi słonecznymi promieniami i nic nierobieniem. Wyglądaliśmy jak dwaj panowie z łoża szyderców. W „jedynce” się pozmieniało. Nad nami rozbiła swoje namioty spora ekipa z Iranu. Siedzieli w kręgu i śpiewali raz wesołe a raz rzewne pieśni. Panie, w górskich butach i kolorowych chimarach, wyglądały bardzo egzotycznie. Nad jednym z namiotów powiewała wielka irańska flaga. Z kolacji udało się mi zjeść trochę jajecznicy. Do zmroku, piwem marki Efez, świętowaliśmy zdobycie szczytu.

Następnego dnia, przed południem, rozpoczęliśmy schodzenie z „jedynki” na zakole drogi powyżej wioski Eli skąd bus zabrał nas do Dogubayazit. Po drodze mijaliśmy długie, jeszcze bardzo świeże i pełne entuzjazmu, kolorowe karawany zmierzające na Ararat. Widać było, że sezon wspinaczkowy rozpoczął się tu na do-



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

W drodze do obozu I - obozowisko Kurdów



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Z flagą Kóz na Araracie, 5137 m



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Obóz I - Łoza Szyderców

bre. Po dotarciu na zakole drogi okazało się, że podczas akcji górskiej pokonałszy pieszo 70 km. Popołudnie wykorzystaliśmy na zwiedzenie dwóch atrakcji, które znajdowały się w okolicy. Pierwszą z nich, był położony 6 km od miasta kompleks pałacowo-administracyjny tzw. Pałac Ishak Pashy. Wzniesiono go w pięknym miejscu, wśród górskich szczytów na sporej, skalnej platformie. Jak informowała tablica przed bramą wejściową budowa pałacu została zapoczątkowana w 1685 r. przez kurdyjskiego wodza imieniem Ishak. Stąd zapewne jego nazwa. W kompleksie znajdował się także czynny meczet. Wewnątrz, w kamiennych wnękach, znalazłem kilka oprawionych w skórę egzemplarzy Koranu. Żaden nie był po arabsku. Kilkanaście kilometrów dalej znajdowała się druga atrakcja: Park Arki Noego. Dokładny opis Arki znany był od stuleci z Biblii (Rdz. 6,14 – 8,19). W Księdze Rodzaju zawarto także informację, jakoby Arka po 150 dniach potopu osiadła w górach Ararat. Przez całą wieki poszukiwano jej śladów. Z tablicy, jaka znajdowała się przed wejściem wynikało, że prawdopodobnie zostały one odkryte w 1985 r. pod śniegiem i wulkanicznym gruzem na wysokości ok. 4000 m. My zatrzymaliśmy się koło niewielkiego budynku, w którym właściwie nic nie było poza paroma zdjęciami dokumentującymi owe poszukiwania. Główną atrakcją stanowił tu znajdujący się na przeciwległym zboczu twór geologiczny tak uformowany, że z tej perspektywy przypominał kształtem ogromnych rozmiarów współczesny okręt. Po powrocie do hotelu zajęliśmy się spakowaniem bagaży. W worach transportowym „wylądowało” wszystko co nie było nam już podczas tej części wyprawy potrzebne, czyli cały sprzęt i odzież wysokogórska oraz zużyte ubrania. Pozostałe rzeczy spakowaliśmy do małych plecaków.

Rankiem wyruszyliśmy do Wan. Po drodze zatrzymaliśmy się obok malowniczych wodospadów Muradiye. Było to niesamowite miejsce. W niemal suchym, pustynnym terenie nagle pojawiała się całkiem spora rzeka, która natrafiając na kilkunastometrowej wysokości próg skalny spadała z niego z ogromną siłą. Zanim dojechalibyśmy do Wan zatrzymaliśmy się na posiłek w opisanej już restauracji serwującej wyłącznie szaszłyki. Co ciekawe, szef sali Kerem, nie tylko nas pamiętał, ale także pamiętał co kto zamawiał ostatnim razem, czym wprawił nas w osłupienie.

W Wan odwiedziliśmy wielką atrakcję tego regionu a mianowicie hodowlę kotów tureckich, zwanych też kotami z Wan.



Park Arki Noego

FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY



Wodospady Muradiye

FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Były to ciekawe zwierzaki. Miały białe umaszczenie a ich oczy były niesamowite: jedno bursztynowe a drugie niebieskie. Niezwykłą cechą było także ich powiązanie z wodą. Podobno lubiły pływać. Następnie udaliśmy się na zwiedzanie ogromnej, położonej na sporym wzniesieniu twierdzy. Z nieba żar łał się trudny do wytrzymania. Późnym popołudniem udaliśmy się jeszcze na dworzec autobusowy by kupić bilety na jutrzejszy kurs do miasta Kayseri położonego w Kapadocji. Następnie wynajęliśmy pokój w trzygwiazdkowym hotelu za 35 euro. Miał on sporo zalet. Jedną z nich był taras na 6 piętrze skąd rozpościerała się wspaniała panorama miasta. Spędziliśmy na nim miło czas do północy chłonąc orientalne dźwięki i zapachy toczącego się pod nami życia.

Dopółudniem kolejnego dnia, spędziliśmy nad jeziorem Wan. Jednak plażowanie tu nie było takie proste. Wszystkie miejsca,

gdzie była jako taka plaża, były ogrodzone i słono dla obcokrajowców płatne. Hotelową taksówką przejechaliśmy ze 20 km aż wreszcie znaleźliśmy kawałek dostępnego brzegu. Tuż obok biegła dwupasmowa, ruchliwa droga, za którą znajdowało się całkiem spore osiedle mieszkaniowe ogrodzone wysokim płotem i pilnowane przez strażników. Nad brzegiem było sporo śmieci. Z wody wystawały liczne, bardzo ostre skały. O kąpeli nie mogło być zatem mowy. Pospacerowałem z Piotrem wzdłuż brzegu wspominając górskie wyprawy po czym przeszliśmy przez drogę do niewielkiego zajazdu, który funkcjonował przy stacji benzynowej, by napić się kawy. Kilkadziesiąt metrów dalej drogę zagradywały rogatki i funkcjonował posterunek wojskowy ubezpieczony przez dwa gotowe w każdej chwili do akcji wozy pancerne. O godz. 13 wróciliśmy do hotelu. Nasz autobus odjeżdżał za kilka godzin.

Piętnastogodzinna jazda autobusem dostarczyła nam niezapomnianych wrażeń. W ciągu pierwszych trzech godzin byliśmy zatrzymywani 6 razy na posterunkach wojskowych. Zabierano nasze paszporty do kontroli i zmuszeni byliśmy odpowiadać za każdym razem na te same pytania: skąd, dokąd i w jakim charakterze podróżujemy. Tubylców także kontrolowano. Autobus był niemal pełen i te kontrole trochę trwały. Po przejechaniu 100km wreszcie się skończyły. Nie był to koniec „atrakcji”. Autobus był dalekobieżny ale nie miał toalety a kierowcy zatrzymywali się na stacjach benzynowych co 6 godz. Wszelkie trudy podróży wynagradzał nam widok za oknem. Właśnie zbliżało się letnie przesilenie i noc była bardzo krótka. Jechaliśmy wzdłuż przepięknych zielonych pasm górskich. Mijaliśmy dziesiątki wiosek i wioseczek, których mieszkańcy utrzymywali się z hodowli owiec i pracy na roli.

Okolo godz. 8 dojechalismy do Kayseri miasta polozonego w srodkowej Turcji. Dawniej nosilo nazwe Cezarea Kapadocja. W starozytnosci bylo jedna z licznych na tym terenie metropolii chrzescijańskich. Tu mial swoja siedzibe ojciec i doktor kościoła Bazyli Wielki (329-379). Obecnie miasto to bylo takze stolica prowincji i liczyl ok. 1,4 mln mieszkancow. Bylo bardzo dobrze skomunikowane i posiadalo nowoczesna zabudowe. Tuż przed dworcem autobusowym, przy zjeździe z drogi szybkiego ruchu, byliśmy świadkami poważnego wypadku. Jadący przed nami autobus tej samej linii co nasz został „zahaczony” przez naczepę ogromnego tira przewożącego drewniane bale. Spora część autobusu została uszkodzona. Było kilka osób rannych. Bardzo szybko pojawiły się wszelkie służby i zajęły ofiarami.

Sprzed dworca udaliśmy się busem w godzinną podróż do Goreme, miasteczka położonego niemal w sercu Kapadocji. Kraina ta, to jeden z największych cudów natury. Położona w środkowej Turcji i centralnej części Anatolii zajmuje 600 km². Powstała ok. 60 mln lat temu, kiedy to trzy sąsiadujące wulkany pokryły teren grubą warstwą wulkanicznego popiołu. Następnie procesy erozyjne przyczyniły się do utworzenia unikalnych form skalnych z charakterystycznymi daszkami w kształcie np. grzyba, niezliczonymi kanionami i wąwozami. Wszystko to razem stworzyło nierealny krajobraz. Późniejsza działalność człowieka spowodowała powstanie tu wydrążonych w skalne miast i kościołów.

Zamieszkaliśmy w przepięknym, bardzo starym i zabytkowym domu zaadoptowa-



Kapadocja - formy skalne z daszkami w kształcie grzyba

nym na hotel wśród kwitnących oleandrów, pelargonii i bajecznie pachnących jaśminów. Surowe wyposażenie pokoju dodawało mu tylko uroku. Dom wybudowano na skarpie i był wielopoziomowy. Na dachu znajdował się taras, z którego rozpościerała się wspaniała panorama na całe miasto i otaczające je formacje skalne. Prowadziła go młoda dziewczyna urodą przypominająca Hiszpankę. Chociaż zbliżało się południe bez problemu dostaliśmy wspaniałe śniadanie. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy zwiedzać okolicę.

Samo miasteczko przypominało europejski kurort. Składało się niemal wyłącznie z hoteli i sklepów z pamiątkami. Dokładniej mówiąc, przypominało rosyjski kurort. Wszelkie napisy były tu w dwóch językach: po angielsku i rosyjsku. Na ulicach były tłumy turystów ale wokół słyszało się tylko język rosyjski. Wszyscy zachowywali się spokojnie i tak jakby wojna w Ukrainie ich nie dotyczyła. Nawet pojawienie się samochodu na ukraińskich tablicach nikogo tu, poza mną, nie zainteresowało. Problemem było poruszanie się po miasteczku. Niedawno zakończono tu budowę kanalizacji i wszystkie ulice były totalnie rozkopane. Przejeżdżające samochody wzniesły ogromne tumany kurzu. Co prawda, cały czas jeździły po ulicach auta strażackie i polewały je wodą, ale w temperaturze przekraczającej +30°C w cieniu na niewiele się to zdało. A słońce tego dnia nie powiedziało jeszcze ostatniego słowa i temperatura powoli acz stale rosła, by ok. godz. 15 osiągnąć +38. Spacerkiem dotarliśmy do tzw. Doliny Czerwonej. Podczas dnia zachwycała ona całą paletą różu, ale wieczorem,

gdy słońce zniżało się ku horyzontowi, skały nabierały czerwonych barw tworząc krajobraz niczym z Marsa. Tu zrezygnowaliśmy z dalszego zwiedzania i udaliśmy się do hotelu. Przyjemnie było położyć się w chłodnym pokoju i na chwilę zdrzemnąć.

Późnym wieczorem, gdy upał zelżał, udaliśmy się na poszukiwanie restauracji, by zjeść kolację. Wybór był ogromny ale ceny przyprawiały o leki zawrót głowy. Wreszcie znaleźliśmy odpowiednią. Szaszłyki były jak zwykle smaczne. Obok nas stolik zajęła Rosjanka z dwójką nastoletnich córek. Zamówiły specjalność zakładu: całego kurczaka pieczonego w glinie, do którego serwowano ogromne porcje pieczonych ziemniaków i różnych sałatek. Panie były prawdopodobnie na diecie bowiem zjadły zaledwie maleńką część podanego dania. Reszta „wylądowała” w koszu. No cóż, kto bogatemu zabroni!!! Na wieczór chcieliśmy kupić kilka puszek piwa. Trochę trwało zanim znaleźliśmy właściwy sklep. W Turcji nie można od tak kupić alkoholu. Sprzedawany był w sklepach oznaczonych specjalnym logo a tych nie było tu zbyt wiele. Po powrocie do hotelu usiedliśmy na tarasie i długo toczyliśmy rozmowy o górach i życiu.

Spaliśmy stosunkowo krótko bowiem wstaliśmy tuż przed świtem (ok. 3.45), by z hotelowego tarasu podziwiać kolejną turystyczną atrakcję tej miejscowości a mianowicie przelot balonów na ogrzane powietrze. Z Piotrem z niej zrezygnowaliśmy ze względu na cenę. Około 50 minut lotu w dwudziestosześcioosobowym koszu kosztowało 160 euro. Gdy pojawiły się pierwsze promienie słońca rozpoczął się

niezwykły spektakl. Tego ranka w niebo wzbilo się 120 ogromnych, bajecznie kolorowych balonów. Majestatycznie przelatywały na różnej wysokości nad tarasem. Widok zapierał dech w piersiach.

Po śniadaniu udaliśmy się na całodniowy trekking do Parku Narodowego Goreme. Pierwsze odwiedziliśmy podziemne miasto Kaymakli. Z godzinę krążyliśmy po wydrążonych w skale na kilku poziomach korytarzach i pomieszczeniach o różnym przeznaczeniu. Rozmach tej inwestycji robił wrażenie, zważywszy, że została ona rozpoczęta w czasach prehistorycznych przy użyciu prymitywnych, ręcznych narzędzi. Po drodze odwiedziliśmy działającą w tym rejonie firmę jubilerską. Gąbłoty ugięły się pod ciężarem złota i szlachetnych kamieni oraz cen podawanych w dolarach amerykańskich. Nie byliśmy zainteresowani kupnem i szybko się z tamtąd ewakuowaliśmy. Następnie odwiedziliśmy wykutą w skale twierdzę w miasteczku Uchisar. Twierdza należała ponoć do prywatnej osoby i nie bardzo dało się do niej wejść. Obok działał targ staroci i można było kupić niemal wszystko. Znajdowało się tu również sporych rozmiarów tzw. drzewo szczęścia, przyozdobione niebieskimi „oczami proroka”. Symboliczne oko w formie amuletu można było kupić na każdym straganie. Miało ono chronić przed złymi urokami.

Już po południu dotarliśmy do Bezirhane Elitecave Ceramoc, fabryki zajmującej się wyrobem różnych przedmiotów użytkowych i artystycznych z gliny. Miałem nadzieję, że uda się mi tu kupić jakieś pamiątki do domu. Niestety ceny były więcej niż zaporowe. Odwiedziliśmy jeszcze dolinę, której główną atrakcją były formy skalne przypominające swym kształtem różne zwierzęta np. wielbłąda, oraz położoną w pobliżu drogi do Zelve tzw. Dolinę Mnichów. W tej ostatniej, niektóre z wykutych w skale kościołów i kaplic nadal były pokryte dobrze widocznymi freskami. Od czasów rzymskich dolina ta stanowiła ważny ośrodek chrześcijaństwa. Tu tutaj swój początek otrzymało życie monastyczne. W czasie zwiedzania rozpętała się potęż-

na burza z piorunami a silny wiatr wzbijał tumany kurzu i musieliśmy się szybko ewakuować. Pełni niezapomnianych wrażeń, późnym wieczorem, wróciliśmy do hotelu.

Wstaliśmy skoro świt. Przed nami był przejazd na lotnisko do Kayseri i lot do Stambułu. Zanim wpuszczono nas do terminalu odlotów powtórzyła się historia z czekaniami i rakami. Na szczęście, po ich wyjęciu pracownik obsługujący skaner od razu zorientował się do czego służą i nas przepuścił. Lot trwał godzinę. Piloci rozpoczęli lądowanie i odniosłem wrażenie, że samolot kołami dotknął pasa. Jednak nie wylądowaliśmy bowiem załoga gwałtownie poderała maszynę w górę i odeszliśmy na drugi krąg. Na pokładzie zapadła grobowa cisza. Jak już wspominałem Piotr panicznie bał się latać. Wsunął głowę w ramiona i w tej pozycji zamarł w bezruchu. Nasza niepewność trwała trochę ponad godzinę. Przy drugim podejściu udało się bezpiecznie wylądować. Z ulgą odetchnęliśmy dopiero gdy samolot zadokował przy rękawie. Podczas kołowania mijaliśmy rozstawione wzdłuż pasa wozy strażackie, co jeszcze bardziej potęgowało grozę sytuacji. Już raz przeżyłem podobne doznania. Było to podczas lotu z Katmandu do New Delhi. Wtedy jeden z silników uległ awarii.

Dość długo przed lotniskiem negocjowaliśmy cenę za wynajem małego busa, by nas przewiózł do tego samego hotelu, w którym mieszkaliśmy po przylocie do Stambułu dwa tygodnie temu. Korki były ogromne i przejazd również trwał ponad godzinę. Wszystko to razem spowodowało, że dotarliśmy do hotelu tuż przed godz. 15. Szybko się ogarnęliśmy i ruszyliśmy na zwiedzanie kolejnej atrakcji tego miasta a mianowicie Wielkiego Bazaru. Jeżeli dobrze przetłumaczyłem tablicę informacyjną przy jednej z bram wejściowych, to zajmował on 30 ha i działało na jego terenie ponad 3500 sklepów. To była ostatnia szansa, by zakupić jakieś upominki dla rodziny. Kupiłem dwa zestawy herbat oraz chałwy o różnych smakach.

Do hotelu wróciliśmy tuż przed zapadnięciem zmroku. Po drugiej stronie ulicy

funkcjonowała regionalna restauracja. Tu zamówiliśmy kolację i miło spędziliśmy wieczór. Obok naszego stolika kilku miejscowych rozpoczęło grę w coś co przypominało nasze warcaby. Później wybrałem się jeszcze na samotny spacer po Stambule. Wszędzie było pełno ludzi. Wszystkie miejsca w działających tu licznie lokalach były zajęte. Miasto tętniło nocnym życiem. Wkrótce dotarłem na skraj Zatoki Złoty Róg. W jej wodach odbijały się uliczne latarnie oraz liczne pięknie oświetlone artystyczne budowle.

Wylot do kraju zaplanowaliśmy na dzień następny na godz. 8.10. zatem musieliśmy wstać stosunkowo wcześnie. Obsługa hotelowa zamiast śniadania przygotowała dla nas świeżutkie kanapki. Były super. Do pełni szczęścia zabrakło nam tylko kawy z ekspresu. Gdy o godz. 5 wyszliśmy przed hotel, w restauracji obok miejscowi nadal kontynuowali rozpoczętą wczoraj wieczorem grę. Przyjaźnie pomachali nam gdy odjeżdżaliśmy. Lecieliśmy liniami Turkish Airlines. Do naszego lotu dołączono pasażerów PLL LOT i doszło do nietypowej sytuacji. Turecki przewoźnik serwował śniadanie w ramach biletu tylko swoim pasażerom.

Do Warszawy przylecieliśmy planowo bez jakichkolwiek ekstremalnych przygód. Po odebraniu bagaży pożegnałem się serdecznie z Piotrem. Bardzo dobrze się nam razem i wspinało i podróżowało. Dotąd nie zdarzyło się, bym wyjechał na wyprawę, której celem było wejście tylko na jeden szczyt. Niemniej ten wyjazd oceniłem jako udany. Od czasu, gdy jako nastolatek czytałem z wypiekami na twarzy burzliwą historię Armenii marzyłem, by kiedyś udać się w rejon góry Ararat. Po latach, nie tylko zobaczyłem tę kultową górę ale i stanąłem na jej wierzchołku. Przy okazji przejechałem wiele setek kilometrów po pięknej Turcji, zwiedziłem Kapadocję, krainę bajeczną i niezwykłą oraz Stambuł, miasto równie bajeczne i niezwykłe. Poznałem także wielu miejscowych ludzi. Pomimo, że czasem przyszło im żyć w bardzo trudnych warunkach nic nie stracili z pogody ducha i życzliwości okazywanej przybyszom. ■

CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, KINGA BURAS, BARBARA MORAWSKA-NOWAK, AGATA PODGÓRSKA

SKŁAD: NIKODEM FRODYMA

ADRES REDAKCJI: UL. ZAWILCÓW 1, 43-374 BUCZKOWICE, E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL, TEL.: +48 661-536-667

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE:

WWW.PTT.ORG.PL